

WIEŚNIACZKA Z NAD WISŁY.

Ciernistym szlakiem

Opowiadanie

z czasów prześladowania Unji.



WARSZAWA.

Druk „Polak-Katolik“ Krak. Przedm. 71.

1926

I,

W skromnym saloniku państwa Bileckich liczniejsze zebrało się towarzystwo. Nie uważano na wicher i słoń, bo to dzień św. Jadwigi, imieniny pani do mu, poczciwej i powszechnie kochanej, więc sąsiedzi nietylko bliżsi, ale i z dalszych majątków, pośpieszyli gromadnie złożyć jej dowody swej pamięci. Ze starszymi przybyło kilkanaście osób młodszych, które zdawna już niecierpliwie przyjemności tej wyglądały. Ale dziś jakoś nie szła zabawa, choć dużo się po tym dniu spodziewano. Przed kilku bo tygodniami z ust do ust przebiegła wiadomość, że do rodziny państwa Bileckich i tak dość licznej, bo obejmującej dwie dorastające córki i troje młodszej dziatwy, przybyła jedna jeszcze osoba; bliska kuzynka, sierota, która tu już miała pozostać. Dużo opowiadano o niej, że wykształcona, miła i niezwykle piękna, nie dziw więc, iż zaintrygowało to okoliczne panny i wielkie sprawiło wrażenie wśród grona szukających żony młodych ludzi. Dotąd tak się jakoś składało, że jej nie widzieli,

w kościele bywała rano, zresztą nigdzie z domu się nie wychyliła, z tem większą więc uciechą skorzystano ze sposobności imienin, by ją poznać i do niej się zbliżyć.

I oto w pośród sześciu panien z sąsiedztwa Krystyna Bilecka rej wódzi; wytwornością obejścia, powabem niezwykłej piękności przyciąga wszystkie. Icczy, rozmową dziwnie wdzięcznie i mile z ust koralowych płynącą, rozwesela i ujmuję. Zebrane w kącie pokoju panienki otoczyły młodzież w półkole i stojąc bierze udział w jakiejś ciekawej rozprawie. Co chwila gwar głośniejszy się zrywa, albo śm ech ogólny wybucha, znać jednak, że brak tu dzisiaj szczerej i swobodnej wesołości, że coś serca zmroziło, więc do zabawy, do tańca nikt się nie zabiera. Najżywiej zajęci są skupieni we framudze okna czterej panowie; prowadzą oni przyciszoną, ważną widać rozmowę, omawiają coś, którą im tylko co doniósł jeden z nich, wysoki, po trzydziestce mający już mężczyzną, o szlachetnej postaci i jasnym poczciwem spojrzeniu. Na niego w tej chwili zwrócona jest ogólna uwaga, kierują się wszystkie pytania, do niego biegą i od strony kanapy, gdzie najpoważniejsze panie zasiadły, strzały spojrzeń wiele dające do myślenia. Nic dziwnego. Toć to młody wdowiec, właściciel wcale ładnego mająteczku, niedawno w tych stronach nabyciego. Przeszłości jego nikt nie zna, nikt o nią nie pyta, bo pan Stefan Krasnodębski tak się dobrze przedstawia,

że ogólną zyskał sympatję i każda mama najchętniej córkę by mu za żonę oddała, chociaż on matką staruszką i dwojgiem dzieci obarczony. Ale on nie zdradza chęci ożenienia, gospodaruje zawzięcie, trzyma się domu i tylko przy niezwykłych okolicznościach w towarzystwie z nim się spotkać można.

Dziś przybył tu później od innych, opowiada coś półglosem, a chmura smutku i rozdrażnienia zasępia jego zwykle pogodne czoło. Dopiero gdy na wezwanie pani Bileckiej, a prośbę młodzieży, Krystyna usiadła do fortepianu i w pokoju rozległy się dźwięki tak dobrze znanej, a zawsze miłej pieśni: „Rosła kalina z liściem szerokim” — Krasnodębski przesunął ręką po czole, jakby chmurę z niego chciał spędzić i wsłuchał się w słowa piosenki, a bardziej może jeszcze w dziwnie jakoś słodko i mile oddaną jej melodię. Krystyna miała głos piękny, jak srebrny dzwonek, pełen uczucia i siły, mogła nim naprawdę czarować, to też po jednej pieśni zmuszono ją do drugiej i trzeciej, a wszystko w pokoju zamilkło, znieruchomiało, zasłuchane i przejęte.

— Ach, jakiż to dar wielki posiada panna Krystyna, szepnął do gospodarza domu, Krasnodębski.

— Tak, to po matce skarb odzieżiczony.

— Czy matka, czy rodzice panienki żyją?

— Oh, nie; Krysia zupełnie jest sierotą. Biedactwo, tułało się między obcymi, dopóki nauk nie skończyła; dłużej na to nie pozwoliłem, ja, jej stryj rodzony i zabrałem do siebie. Wielkiego majątku nie posiadam, ale chleba wystarczy i dla niej.

— Czy jednak nie szkoda taką perłę ukrywać na wsi, gdy przy swych zalebach na szerszej widowni mogłaby zrobić karierę?

— Tak, mogłaby, ale kosztem cnoty i sumienia. Nie chcę, i ja tego i ona za tem nie wzeczycha. Poczciwe gniazdo Bileckich niczem się nie splamiło, jej też lepiej będzie w mierności i zwykłej pracy, aniżeli w świetności i pysze wielkiego świata, gdzie wiara i moralność na szwank narażoną bywa.

— Przykłasnąć można temu postanowieniu, jeżeli tylko pannie Krystynie do szczęścia to wystarczy.

— Jak nie wystarczy, rozśmiał się Bilecki, to wydam ją za mąż, za jakiego hreczkosieja, ona tak lubi gospodarstwo. Tymczasem z tego co umie niech drugim udziela. Uczy moje dziewczęta, Stasiowi też lekcje daje, bo już sporą chłopak — i tak na kawałek chleba szczerze zarobi.

W tej chwili od fortepianu teskne i rzewne płynęły dźwięki. Obaj panowie umilkli zasłuchani, Krystyna śpiewała:

Czemu w świecie tak radośnie,
A u nas ponuro?
Kwiat wesela innym rośnie,
Nam słońce za chmurą.

Czemu szczęście ni swoboda
Nam się nie uśmiecha?
W smutku żyje dusza młoda,
Nie zna co pociecha.

Czemu słyszym pomruk burzy,
Niebo gromem straszy?
I odmiany nic nie wróży
Na tej ziemi naszej.

Czemu w piersiach bólu tyle
I cierpień i trwogi?
A wytchnienie... gdzie?..., w mogile?....
Zmień to, Boże drogi!

Pieśń zmilkła, nagle przerwana; jakieś ręce pieszczoły uściskiem objęły szyję Krystyny.

— Daj pokój, dziecko drogie, strażnicy po wsi się włóczę i do wszystkiego przyczepiają. Musim być ostrożni, mówiła pani Bielecka, dotykając ustami czoła dziewczyny.

— Więc i tego nam nie wolno?

— Niestety! Ale ufajmy, że sprawiedliwości czas przyjdzie... głos cierpień naszych znajdzie wysłuchanie u Boga.

Łzy błysnęły w oczach Krystyny, ale je prędko wstrzymała, nie uszły one jednak uwagi Krasnodębskiego. Wpatrzony w piękną pannę, wsłuchany w miły dźwięk jej głosu, chciwie chwytał każde słowo pieśni i choć, zda się, nic w niej nie było, zrozumiał myśl ukrytą i odczuł jak nikt inny.

W tej chwili pani Bilecka prosiła gości na kolację. Podsunął się szybko i podał rękę Krystynie. Przeszli do jadalnego pokoju nie rzekłszy do siebie ani słówka. Dopiero przy stole pan Stefan zawiązał rozmowę, zaczynając od podziękowania za tak piękny śpiew, a zwłaszcza za ostatnią piosenkę.

— Tęsknię nasze serca do chwili swobody, do szerszego oddechu, mówił z cicha, nad jej krzesłem się pochylając, a tego jak niema, tak niema. Ucisk prześladowania sroży się bez przerwy i krwi męczeńskiej tyle już wyłoczono na nieszczesnej ziemi chełmskiej.

— Straszne to nad wyraz i bolesne, westchnęła Krystyna. Gdy o tem w Krakowie mówiono, myślałam nieraz, że chyba wieści przesadzone, a teraz widzę, że były tylko słabym odgłosem tego, co się tu słyszy i spotyka. Biedni unici, ale i my katolicy, czyż nie jesteśmy uciśnieni? skrępowani we wszystkich pragnieniach i poczynaniach? Oh, jak tu duszno, jak ciężko żyć, że mimowoli skarga się z ust wyrywa.

— I może radaby pani wrócić do szczęśliwszego od Kongresówki Krakowa?

— Nie; zwłaszcza teraz, gdy często z niedolą drugich zetknąć się wypada, nie chcę być szczęśliwą, gdy inni cierpią i nie mam większego pragnienia nad to, by choć czasem komuś dolę osłodzić, słowem pociechy wzmacnić.

— Szlachetne, przezacne pragnienie, ale i tego nawet tu mieć niewolno. Tu nawet zwykły objaw litości dla cierpiących i męczonych za zbrodnię jest poczytany.

— Zawsze w czemś ulżyć, coś ułatwić można, gdy się ma dobrych wspólników.

— Czy pani takich wspólników poszukuje?

— Nie, bom ja tu nieznana, miejscowych stosunków nieświadoma, ale jako wspólniczka chętniebym przystała do tych, co w jakikolwiek sposób starają się złagodzić cierpienie, czy coś ułatwić bohateriskim męczennikom za wiare.

— Trudno coś dla nich uczynić, bo szpiegostwo i kontrola najściślejsza wszelką działalność tamującą, mimo to jednak czasem coś uda się zrobić.

— Gdy pan posłyszy o możliwości przyjścia im z pomocą, niech mi pan powie.

— Dobrze; tylko zawsze i we wszystkiem tajemnica, najgłębsza tajemnica.

— Potrafię ją zachować, niech pan będzie spokojny.

— Dziękuję za obietnicę. Na początek niech się pani postara bliżej poznać z miejscowym proboszczem, zacny to kapłan, pełen poświęcenia, a kapłańskiej pomocy najbardziej tu trzeba.

— Czyż się nie obawiają odpowiedzialności?

— Zobaczy pani i sama się przekona.

Wstawano od stolu, przeszli więc do sąsiedniego pokoju i zajęli dwa odosobnione krzeselka. To ciekawe, to zazdrośnie biegły ku nim spojrzenia, lecz tego nie widzieli, pochłonięci rozmową. Krasnodębski w żywych słowach malował obraz grozy i rozpaczły, na jaki dziś właśnie natknął się w przejeździe przez wieś uniczką. Na dom osieroconej przez wywiezienie do Rosji męża, dzielnego wyznawcy wiary, biednej wyrobnicy napadło podczas jej nieobecności kilku strażników, by porwać dwoje znajdujących się bez chrztu prawosławnego dzieci. Dwuletnia dziewczynka, na której opiece te dzieci zostały, starsze trzyletnie ukryła w kurniku, a młodsze chwyciwszy na ręce, w niebogłosy ratunku wołała. I nastąpiła okropna scena wydzierania zanioszącego się od płaczu maleństwa z rąk dwunastoletniego dziecka. Straszny widok, rozdzierające serca krzyki rozpaczły, aż dziecię ze słabych rąk wydarte, owinięto w szynel i co tchu poniesiono jako zdobycz tryumfalną do popa.

— Jakie to okropne! szepnęła Kryszyna, usiłując powstrzymać łzy do oczu napływające; i nie można było ratować?

— Nie było sposobu, kilka kobiet nadbiegło, ale je brutalnie odepnęto i poturbowano. Mnie, gdym nadjeżdzał kulką pogrożono... oni są panami położenia. Ale nie koniec okrucieństwu. Dziewczynkę, co tak dzielnie broniła, rozciągnięto na ziemi i bito, ach, jak bito okrut-

nie, straszliwie! Skatowane dziecko pewnie żyć nie będzie, a gdyby żyło, pozostanie kaleką, bo ręce jej połamano. A trzebaż było widzieć matkę nieszczęśliwą, gdy ujrzała jedno swe dziecko we krwi, a drugie przez wrogów porwane. Pobiegła za tem drugiem, by je od hańby prawosławia ocalić, pobiegła wołając, że ono już po katolicku ochrzczone. Niestety, było już zapóźno! Wnet zetknęła się ze strażnikiem, który jej dziecko przez popa ochrzczone odwoził!... Krew stygnie w żylach, gdy na taką boleść się patrzy, uczucie czci przejmuje, gdy się widzi takie bohaterskie do wiary przywiązanie. Toż i tej kobiecie zabrano na kontrybutcję jedyną krowę — karmielkę, owieczki i co tylko znaleziono w biednej izdebce, ona jednak dobrowolnie ochrzcić dzieci nie dała.

— O! tak, szepnęła Krystyna, mamy nadzieję, że następcy tych bohaterów staną sięgodnymi spadkobiercami ich chwały męczeńskiej, bo w przeciwnym razie...

— Biada im! jeśliby skarbu przez ojców przekazanego szanować nie umieli. Nie godni zwać się ich dziećmi i wnukami, zasłużyliby sobie na wzgardę u współbraci, na kary wielkie i tu w wieczności.

— Nie, oni nie mogą zapomnieć tego, co ich przodkowie za siebie i za nich przecierpieli, a gdy ta krew męczeńska wolność religijną i narodową u Pana niebios nam wyprosi, pamięć ich czcią i mi-

łością otoczą, bo cóż chlubniejszego w żywiu, jak czuć się dziećmi męczenników za wiare.

Na twarz Krystyny wybiegły rumieńce, oczy jak gwiazdy zapałem rozgorzały. Krasnodębski z niemym zachwyttem w nią się wpatrywał.

Ujął jej rękę i rzekł wzruszony.

— Dziękci ci, pani, za chwilę serdecznego odczucia i to silne przekonanie, że ten straszny posiew katuszy i zniszczenia wyda plon obfity narodowi na wolność i chlubę, a wrogom na pochübieńcie.

W tej chwili żegnać się zaczęto, czas było opuścić gościnne progi. W samą porę dla dwojga ludzi, co po raz pierwszy zetknęwszy się z sobą, jedność myśli i zapatrywań w sobie odkrywszy, rozstali się pod silnym, podnioslem wrażeniem, którego dalsza nie osłabiła rozmowa.

Krystyna w zadumie podeszła do okna. Od ganku dolatywał gwar pomieszanych głosów, trzaskanie batów, turkot odjeżdżających bryczek... Po szybach trzepał deszcz drobny, wiatr smętnie w gałęziach szeleścił, a w koło było ciemno, chmurno... Tak ciemno, ponuro było na ziemi ojczystej, zmagającej się ze strasznym tyranem... ale po nocy następuje dzień... Oby on nadszedł jak najprędzej!..

II.

Północ już była gdy Krasnodębski dojeżdzał do swojej siedziby. Deszcz z wiatrem smagał niemiłosiernie, koń brnął po błocie, ciemność i pustka zewsząd go ogarniała. Nie zwracał na to uwagi, było mu jakoś miło i ciepło. Puścił koniowi wodze, a sam w myślach pogrążony, odtwarzał w duszy obraz Krystyny i ważył każde jej słowo. Nie krył tego przed sobą, że silne na nim sprawiła wrażenie, nietyle powabem swych wdzięków, co widoczna z całego jej zachowania i każdego wyrażenia, pięknością duszy. Nie znalazł u żadnej z panien w okolicy tego właściwie, co najbardziej cenił, co w nim czci uczucie budziło. Rad był ze zbliżenia i marzył, obojętny na wszystko inne w tej chwili, aż rżenie konia obudziło go z zadumy. Wjechał w aleję do dworu prowadzącą. W domu już wszyscy spali, na górze tylko w jednym oknie słabe błyskało świetełko.

— Tak późno, a matka jeszcze nie śpi i czuwa... zawsze się czegoś niepotrzebnie obawia, myślał z pewnym niezadowoleniem.

Oddał konia stróżowi, by go do stajni zaprowadził, a sam zrzuciwszy burkę, podążył na góre.

— Że też mama jeszcze nie śpi! zawołał z wyrzutem, gdy do niego wyszła na powitanie. Jakżeż można tak o swem zdrowiu nie pamiętać.

— Janinka jakaś chora, ma silną gorączkę, muszę przy niej czuwać.

Ucałował jej ręce i do fotelu poprowadził.

— Biedna mateczko, ileż to trudu i troski z mojemi dziećmi przenosisz! Gdybyż ci można ulżyć choć trochę!

— Chętnie podejmuję wychowanie dzieci, bo je kocham, ale mimo to powitałabym z radością zastępcynię swoją w domu i gospodarstwie w osobie twej żony, na którą dawno należało się zdecydować.

— Nie spotkałem do dnia dzisiejszego osoby, odpowiadającej moim pragnieniom i wymaganiom.

— A dziś?... Widzę, że wracasz wesołem usposobieniu... Krystyna Bilecka kže ci się podobała?

— Muszę przyznać, że niema przesady w tem, co o niej słyszałem. Jest piękna, rozumna, ma szlachetne serce i dążenia. Z taką kobietą warto iść przez życie.

Matka popatrzyła uśmiechem na jego twarz rozjaśnioną, ocapała błysszczącą.

— Rada słyszę, że nareszcie znalazłeś kobietę według swego upodobania, mówiła pieszcząc przytuloną do swego ramienia ukochaną głowę jedynaka, ale posłuchaj mnie i bądź rozważny. Pierwsze wrażenie omylić może, a tobie nietylko żony, lecz i matki dzieciom potrzeba.

— Pamiętam o tem i właśnie dlatego Krystyna zdaje się odpowiadać naszym zapatrzywaniom. Chciałbym, żebyś ją poznała, mateczko.

— Sam wpierw postaraj się lepiej ją poznać, mnie twoje zdanie wystarczy.

— Położ się, mamo, czas na odpoczynek. Ja zajrzę do dzieci i gdyby tego było potrzeba, zastąpię cię przy nich do rana.

Rozstali się, nową myślą zajęci, do snu przecież obojgu się nie spieszycie. Matka nie ruszyła się z fotela, ale wsparłszy głowę na rękę, dumała nad czemś głęboko, a nagła jakas troska posępnią chmurą zaciemniła pogodne jej czoło.

— Co począć? wyrwały się z jej ust słowa? powiedzieć Stefanowi?... Nie, nie, toby go zupełnie od zamiaru ożenienia odwiodło, a tu ja nad grobem, dzieci małeńkie i on sam na świecie bez życliwości koło siebie istoty — to mię zastrasza. Nic mu tymczasem nie powiem... A jak dojdą? wyszperają? Ha, na to w ostatniej chwili sposób się jakiś znajdzie, znaleźć musi. Nim umrę jedno jeszcze wyż... *... i Feę: zacną, poczciwą*

żonę dla Stefana, troskliwą opiekunkę dla jego dzieci.

Podniosła się z fotela, uklękła przy łóżku i do wiszącego na ścianie obrazu Matki Bożej ręce wyciągnęła.

— Matko strapionych, Ucieczko nieszczęśliwych, wesprzyj... dopomóż... ratuj nas!

Długo się modliła, przedstawiając Królowej niebios, tak potrzeby swoich najbliższych, jak i ucisk nieszczęsnego narodu. Z modlitwą, ze łzami spływał powoli gniotący jej duszę ciężar niedoli, o której codziennie słyszała i obaw, które tak często biediem jej sercem miotały. Wreszcie z sił wyczerpana, ale spokojniejsza i pełna ufności w sprawiedliwość Bożą do snu się utuliła.

Tymczasem Krasnodębski siedząc przy łóżeczku swej starszej pięcioletniej córeczki, snuł w myśl piękne plany i poddawał się urokowi rozkosznego upojenia, jakie nim owładnęło. Zdawało mu się, że Krystynę zna już dawno, że staranie o jej rękę nie powinno się dłucho przeciągać i — gdyby dobrze poszło — w karneale mógłby już wprowadzić pod swój dach ukochaną przez siebie kobietę. Tak, nie krył tego przed sobą, że mu się bardzo podobała, a że ją widział szlachetną i dobrze myślącą, sądził, iż matce da w niej córkę o jakiej nieraz marzyła, a dzieciom pożądaną opiekunkę i matkę.

Janinka spała spokojnie, obok przez ścianę była na zwołanie służąca, oddalił

się więc do swego pokoju na dole. Nie zdążył jeszcze światła zapalić, gdy w ogrodzie rozległo się hukanie sowy. Podszedł do okna, otworzył je i czekał. Z gęstwiny drzew wynurzyła się jakaś postać i cicho, do ziemi przychylona podpełzła do okna.

— Kto tam? spytał szeptem Krasnodębski.

— To ja, Waszczuk, o poratowanie proszę.

— Mówcie, czego chcecie.

— We wsi naszej dwoje dzieci przybyło, u mnie i u sąsiada, trzeba je ochrzcić, póki się strażnicy nie dowiedzą. Stary Maciej mierci się spodziewa, o spowiedź prosi, ze dwoje chorych jeszczeby się znalazło.

— Za dużo naraz, no, ale zobaczymy, poproszę księdza proboszcza. Jutro o północy we młynie tylko pojedyńczo, z największą ostrożnością... brzegiem lasu i krzakami nad rzeką.

— Niech wam Bóg miłosiwy zapłaci, wielmożny dziedzicu.

Postać bez szelestu prawie od okna się odsunęła. Krasnodębski patrzył i nad słuchiwał. Upłynęła dłuższa chwila, cisza zupełna panowała. Upewniony, że wieśniak wydostał się szczęśliwie z ogrodu, przez nikogo nie dostrzeżony, zamknął okno, z gorącem westchnieniem:

— O! Matko Boża, mają nas w swej opiece, abym pomagając tym nieszczęśliwym, siebie i dzieci swych nie zgubił.

III.

Po nocy słońcej pogodniejszy ranek zaświtał, Krasnodębski wyruszywszy w pole do robotników, skręcił w stronę lasu. Nie zagłębiając się w jego gęstwinę, jechał brzegiem, kierując się w stronę widniejącej zdala wieży kościołnej. Koń stąpał wolno po nierównej ścieżce, a on zamyślony wodził wzrokiem po przeświecającym przez cienką ściankę lasu zlekka omglonem polu. Nagle głuchy tētent kopty końskich zwrócił jego uwagę. Spojrzał — i aż się w tył cofnął wraz z koniem. Przez pole ku lasowi pędziła amazonka, zręcznie kierując karym konikiem. W granatowej sukience, białym ciepłym szalem niby obłokiem otoczona, jechała wprost na niego, jakby jakąś tajemniczą ręką wiedziona. Uśmiechnięta, różowa, zdało się, że z rozkoszą używa przejaźdzki, z całą pełnią swobody ciesząc się tym wiejskim krajobrazem, który ma w sobie tyle uroku, gdy go cisza owiewa, a słońce złoci.

Krasnodębski jakby przyrósł do miejsca, nie śmiał, zda się, oddychać, by

nie spłoszyć cudnego zjawiska. Była to Krystyna, sama w pustem polu... co za spotkanie! Minęła go, nie spostrzegłszy za drzewami i kierując się brzegiem lasu, jechała dalej. Krasnodębski popędził za nią. Odwróciła głowę, by spojrzeć kto nadjeżdza i zwolniła bieg konia. Na grzecznego ukłon odpowiedziała uśmiechem, lecz jednocześnie lekka chmurka przemknęła po jej czole. Zauważył to Krasnodębski i gdy się ich konie zrównały, jał przepraszać, że się ośmielił przerwać jej miłą samotność, ale rad korzysta ze sposobności, by dotrzymać danego przyrzeczenia.

— Nie wiem o co panu chodzi? spytała poważnie.

— Chciała się pani wtajemniczyć w niedolę podlaskich męczenników... zaczął powoli.

— O! tak, radabym się zapoznać z przebiegiem ich walki i bohaterstwa — i nie dla prostej ciekawości tylko — nie. Chcę widzieć jak oni cierpią i zwyciężają, bo to się więcej ceni, co się lepiej poznało i wierzy temu najmocniej, na co własnymi patrzyło się oczyma. Los szczęśliwy czy nieszczęśliwy przywiódł mię na tę ziemię męczeńską, chcę zatem wniknąć głębiej w ducha ludu, nad którym świat się zdumiewa, a wróg daremnie sroży.

Pochylił przed nią czolo z uszanowaniem.

— Jeśli tak, to dziś jeszcze mogę do tego sposobność.

— Bardzo dobrze. O jakiej po e i gdzie?

— O północy. Zobaczy pani to, co tutaj tak często się zdarza: — potajemne udzielanie śś. Sakramentów, Łatwo zrozumieć, że wszelki w tem współludziała grozi wielką odpowiedzialnością, nie lęka się więc pani, że nas mogą wyśledzić i zatrzymać?

Wyprostowała się dumnie i spojrzenie pełne wyrzutu rzuciła Krasnodębskiemu.

— To pan, ojciec rodziny, właściciel majątku, który mu za to mogą skonfiskować, nie obawia się dla świętej sprawy narażać, a ja wolna, samotna kobieta miałabym się lękać bolesnej prawdzie spojrzeć w oczy?! Jakżeż złe ma pan o mnie pojęcie! Ale nie, tak źle nie jest. Ja kocham moją wiare, kocham więc i tych, co za nią cierpią i giną. Chcę za jaką bądź cenę do nich się zbliżyć.

Podjechała do niego bliżej, jakby w obawie, żeby ich kto nie pod słuchał i dodała prosząco:

— Jeżeli zasługuję na zaufanie, niech mi pan raczy wskazać miejsce tej nocnej schadzki.

— Ufam pani bezgranicznie, proszę więc posłuchać. Dziś koło północy tedy brzegiem lasu przemknąć się trzeba niepostrzeżenie aż tam nad rzeką, do tego opuszczonego starego młyna, o którym w całej okolicy krąży gadka, że tam stra-

szyste duchy napastują, że słychać po nocach jęki i dziwne hałasy.

— Aha! rozumiem, zaśmiała się Krystyna.

— Tak, trzeba było coś zrobić, żeby sobie jakieś miejsce zabezpieczyć, rozpuścić gadkę, a potem ją w oczach włóczęcych się strażników usprawiedliwić. Nadspodziewanie się udało... i teraz w nocy nikt z niewtajemniczonych koło młyna przejście czy przejechać się nie odważy. Pod opieką „duchów“ mamy zatem spokojne schronienie, a w ostatecznym razie bliskość lasu i nadbrzeżne szuwary przed niepożadanymi gośćmi ukryć nas potrafią.

— Doskonale. Dziękuję panu. Będę pewno.

— A co na to stryjostwo powiedzą?

— Myślę, że lepiej ich nie wtajemniczać, aby nie wzniecać niepokoju. Wymknę się z domu, gdy wszyscy spać pójdą, a wróczę nim się obudzą. Przejdę przez ogród i nikt mnie nie spotka.

— Nie, tak nie można. Na to się nie zgodzę, musi mieć pani jakąś opiekę w tej nocnej, bądź co bądź niebezpiecznej wędrówce. Czy nie zechce pani ze mną udać się na probostwo? Tam nad wszystkiem się naradzimy.

— Jak najchętniej. Mam jeszcze pozostawioną sobie wolną godzinę; nie mogę lepiej ją wykorzystać.

Ujechali kilkadziesiąt kroków, gdy koń Krystyny przystał parsknął

i nastroszył się, jakby złakł czegoś nie-spodziewanie. Z pod krzaku dźwignęła się kobieta wychudła, zbiedzona i wzrok na nich błagalny podniosła.

— Prakseda, zawała zdziwiony Krasnodębski. Co wy tu robicie tak daleko od domu?

— O! tak, panoczku, daleko, ale we wsi nie mogłam dosiedzieć. Strażnicy nie dali spokoju; nie dość, że mi wydarli ostatnią poduszkę z pod głowy, ostatnią żywinię z gospodarki, jako karę za upór, jeszcze ciągle grozili, że porwą mi dziecko jedynie, aby je zhańbić, ochrzcić po prawosławnemu. Nie dałam, nie doczekanie ich, nie wezmą, nie wezmą już mojej jagódki, już nie...

Dzika jakaś rozpacz a zarazem rezygnacja biła z ócz kobiety i z każdego jej słowa, aż dreszcz wstrząsnął ciałem Krystyny.

— I cóżeście zrobili, uciekliście ze wsi?

— O, tak, uciekłam do lasu, skryłam się z moją dziecią — i nie znaleźli. Z wyrazem tryumfu głowę podniosła.

— Ciężko było, ale zniosłam wszystko, bo wiara droższa nad życie. Znalazłam sobie schronienie przed wiatrem i słońcem, miałam kożuch, zimna nie czułam, ludzie dobrzy chleba, a czasem i strawy przynieśli...

— I wilka nie obawialiście się, czy innego zwierza?

— Eh, zwierzęta lepsze od Moskali, nie przyszły, nie przestraszyły nas ani razu. I tak minęło trzy tygodnie. Teraz już wróćę do domu, nie mam się czego bać.

— Gdzież wasze dziecko?

Oczy kobiety dziwnie zaświeciły, a usta uśmiech bolesny wykrzywił.

— Moje dziecko? Zostawiłam je w lesie, tam pod sosną, pod mchem zielonym, tam ją nikt nie znajdzie, nikt!

— Kobieto, co mówicie? w głowie wam się mąci, mówił Krasnodębski, jakżeż można dziecko samo zostawiać w lesie! Prakseca wybuchła płaczem.

— Moje dziecko śmierć zabrała, śmierć zimna, ale litościwa, co nie odda strażnikom na stracenie. Moje dziecko ochrzczone po katolicku, po katolicku je przeżegnałam i złożyłam do ziemi. Ono już u Pana Boga szczęśliwe, wiem o tem, ale ja, ja biedna sama sierota na świecie.

Chwyciła się oburącz za głowę, głuchy jęk z piersi jej uleciał.

Po twarzy Krystyny płynęły łzy.

Podjechała bliżej i obejmując głowę nieszczęśliwej, przytuliła ją do siebie.

— Nie płacz, biedna męczennico, Bóg widzi twoją bolesć i twoją ofiarę, nie płacz, za przywiązanie do wiary nagroda cię nie minie.

Pocałowała ją gorąco, serdecznie, bo na więcej słów zdobyć się jej było trudno. Coś ją dławisko, coś za gardło

ściskało, że mówić nie mogła, ale zarazem jakaś duma i radość piersi jej rozpierały. Nie może zginąć naród najwięcej gnębiony, kiedy ma w sobie takich mężczyzn wiary wyznawców; nie poradzi nam wróg, choćby nie wiem jak się wysiłał, jeżeli przy Kościele katolickim jak ci nieszczęśliwcy wytrwamy.

— Nie płacz Praksedo, mówił Krasnodębski, Bóg się nad wami zmiaruje, wypuszczając męża z więzienia i żyć będzie tak szczęśliwie jak wtedy, gdyście, odemnie za mąż wychodzili. Przyjdźcie do nas do dworu, matka moja przyjmie was jak najlepiej i co się da, dopomoże. O! czemuż was do siebie wziąć nie mogę!

— Jakto! nie może pan wziąć sługi jaką zechce? spytała Krystyna.

— Niestety, unitom u katolików służyć nie wolno, bo... mieliby ułatwione praktyki religijne, opiekę pewną i oparcie. Do tego nasi ciemięzcy nie chcą dopuścić. Biedni, biedni ludzie, Bóg jeden pomóż, pocieszyć was może.

Kobieta pokornie objęła nogi swego dawnego pana. Krystyna rozumiejąc, jak bardzo trzeba jej było ciepłego słowa i dowodu serca życzliwego, przemówiła raz jeszcze do niej, wciskając zarazem do ręki te kilka złotych, jakie w tej chwili posiadała.

Rozstali się. Konie ruszyły, kobieta patrzyła za niemi.

— Wiem, wiem, szepnęła do siebie, pewnie to będzie jego żona... śliczna i do-

bra, jak anioł; niech im Bóg błogosławi.

Młodzi jechali obok siebie w milczeniu, smutnemi zajęci myślami.

— Widzi pani, jak to u nas nie weśsoło, odezwał się wreszcie Krasnodębski.

— Ach, tak, przyznam jednak, żem rada z tego spotkania, bo umacnia na duchu i każe szanować tę brać siermiężną, co przywiązaniem do wiary podziw budzi. Chyle głowę przed tą ubogą kobietą, to prawdziwa bohaterka.

— A takich bohaterek tysiące. Czy pani sądzi, że ta przez kilka tygodni kryjąca się w lesie kobieta to jakiś jedyny wyjątek? O! nie. Było już takich wypadków niemało. Nieszczęsne matki, widzą że największym skarbem ich dzieci jest wiara katolicka, wszelkimi możliwymi sposobami broniąc je więc przed sprawoślawieniem, gotowe były na najczęstsze nawet ofiary. Pozwoli pani, to o jednym choć takim wypadku opowiem.

— O, bardzo proszę.

— Wielkiem prześladowaniem, po bohatersku znoszonem zapisała się w historji męczeńskiego Podlasia mała parafja unicka, o jakąś milę od Białej leżąca, parafja Hrud. W straszliwy sposób znęcano się tam nad ludźmi, co o przyjęciu prawosławia słyszeć nie chcieli, popa przez rząd przysłanego do cerkwi nie wpuścili. Mordowano ich za to, okrutnie bito, kontrybucjami, karnemi postojami wojsk, furmankami do ostatniej nędzy przywiedziono. Kilka już lat Hrud nie-

szczęśliwy opierał się wrogom, gdy nowa na niego spadła klęska. W kwietniu przymaszerowały tu z Białej trzy roty wojska, aby zmusić unitów do ochrzczenia dzieci. Kobiety, jak tylko spostrzegły nadciągających żołnierzy, domyśliły się w jakim celu oni przybywają. Zabrały więc swoje dzieci i coprzedzej pobiegły ukryć się z niemi w sąsiednim lesie. Pamiętamy dobrze, jaki słotny, mroźny i wietrzny był kwiecień i następny maj w roku 1876; dokuczył nam wszystkim, a cóż dopiero powiedzieć o tych biednych kobietach, co w pośpiechu nie zdążyły zabrać z sobą dostatecznie ciepłej odzieży do otulenia siebie i dzietek, a o chlebie i, pokarmie ani pomyślały. A tu żołnierze wieś otoczyli i pilnie strzegli, aby się nikt z domu z kawałkiem chleba lub ciepłą odzieżą do lasu nie przedostał. Chciano tym sposobem zmusić gładne i opuszczone matki do wyjścia z lasu, niby z fortocy, i zdania się na łaskę lub nielaskę zwycięzców. W takiem strasznem położeniu, w takich męczarniach ciała i ducha heroiczne te kobiety wytrwały na swem koczowisku leśnym przez sześć tygodni, dłuższych dla nich, niż sześć wieków. Kobiet tych było 16, a wspomnienie ich powinno być czczone w narodzie, jako świętobliwych polskich niewiast, co w obronie nieskazitelnosci wiary i świętości swych niemowląt na taką się zdobyły ofiarę.

Krasnodębski zamilkł i spojrzał na Krystynę. Poważne jakieś skupienie widać było w jej twarzy, z pochyloną głową jechała wolno i choć przestał mówić milczała. Nie przerywał tego milczenia, rozumiał je i szanował, aż wreszcie Krystyna podniosła na niego swe zażawione pytające oczy.

— I jakże się ta smutna walka skończyła?

Przez te sześć tygodni wojsko ogrodziwszy wieś ze szczećem, powróciło do Białej, nie dopiąwszy swego celu, a matki z dziećmi wyszły ze swych kryjówek leśnych. Powróciły w tryumfie do domów, lecz podobniejsze do szkieletów niż do ludzi, tak były wyschłe i ogorzałe. Bóg tylko sam dał im ten niezłomny hart ducha i krzepił je zdrowiem codziennie.

— Bądź co bądź, czemże one żyły przez czas tak długi?

— Lud poczciwy z okolicznych wiosek, przekradając się nocną porą do lasu, przynosił im czasami chleb i żywność.

— Słysząc to, zda mi się doprawdy, że żyjemy w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Ten sam zapał w obronie wiary, ta sama gotowość na męczeństwo, podobne również tamtym dowody chrześcijańskiej miłości względem cierpiących współwyznawców, pomimo grożącej za to odpowiedzialności.

— Tak; to też obok bólu, jakim nas niedola tego ludu przejmuje, czujemy i radość z ich zwycięstwa nad wrogiem, który mimo swej potęgi, nie może dopiąć zamierzzonego celu.

— I da Bóg, nigdy go nie dopnie: ci, co dziś cierpią, wytrwają do końca, a młodsze pokolenia chyba odstępstwem od wiary pamięci swych ojców nie splamią.

— Ufajmy, że tak będzie, a sprawiedliwość Boża kres temu okrucieństwu położy. Ale oto dojeżdżamy do probostwa. Tam pani jeszcze więcej się dowie.

III.

Północ nadchodziła, gdy Krystyna wymknąwszy się z domu drzwiami od ogrodu, biegła pustą ścieżką prowadzącą do furtki na pole. Noc była ciemna, wiatr chłodny ziębił twarz i ręce, uczucie trwogi jakiejś tajemniczej ściskało serce. Po raz pierwszy w życiu znalazła się sama wśród nocy, wśród jej ciemności nieprzeniknionych, groźnych. Szła do ludzi nieznanych, znajdujących się w ciągłém niebezpieczeństwie,, czyż to nie szaleństwo? nie lekkomyślne narażanie siebie i swoich najbliższych? A co ją wiedzie, co skłania do tego? czy sama ciekawość?... Nie; wiedziała, że nie, wyższa побudka krokami jej kierowała, współczucie kazało się zbliżyć do tych ofiar prześladowania, aby módz nieść im pomoc w potrzebie. To jej dodawało odwagi, krzepiło na duchu.

Dobiegła do furtki, a gdy ją otwierała, z pod krzaku leszczyny wysunęła się postać kobieca.

— W Imię Boże, szepnęła Krystyna.

— Bóg prowadzi, odpowiedziała kobieta, bo takie było hasło umówione.

Nie mówiąc nic więcej, cicho, lekko, jak dwa cienie, pośpieszyły wązką, błotnistą drogą. Przewodniczka, szła przedem, zachęcając Krystynę do pośpiechu.

— Koło wsi trzeba ostrożnie, bo strażnicy się kręcą, w polu nam będzie bezpieczniej, mówiła szeptem, bacznie się rozglądając.

Nie spotkawszy nikogo dotarły do lasu i jego brzegiem dalej się posuwały. Krystyna w myśl odtwarzała sobie obraz pierwszych chrześcijan po nocy, ukradkiem dążących do katakumb na nabożeństwo. Doznawała podobnego wrażenia, jakiego oni musieli doznawać, gdy przed okiem wrogów starali się ukryć swe ślady. Za co ich czekało męczeństwo? za wyznawanie wiary jedynie prawdziwej i świętej. A dziś czy nie to samo? Co winni im ci ludzie, że im nie dadzą czcić Boga w religii, w której się urodzili i którą całym sercem kochają?...

Takiemi zajęta myślami, ze czcią i współczuciem spojrzała na gromadkę ludzi, skupioną w najskrytszym zakątku młyna. Dwie kobiety z niemowlętami na ręku i tróje chorych wynędzniałych i drżących od zimna — to było na razie całe zgromadzenie. Wkrótce przybył i proboszcz w towarzystwie Krasnodębskiego i dwóch jeszcze krzepkich chłopów, któ-

rzy wysunęli jakiś stolik i nakryli go białym obrusem. Zapalone dwie cienkie gromnice, na środku stanął mały krucyfiks i zrobił się ołtarz, przed którym wszyscy uklekli w pokorze, gdy kapłan Ciało Pańskie na nim złożył. Krystyna o słupek jakiś oparta pozostała nieruchomo, podczas gdy ksiądz przygotowywał chorych do przyjęcia świętych tajemnic, jednał ich z Bogiem i na skruszone ich dusze wylewał strumień łaski sakramentalnej. Modliła się za nich, modlić chciała gorąco, ale jakoś nie mogła. Oczyma wodziła po tej starej ruderze, co w tej chwili w kaplicę się zmieniła, po mrokiem osnute ch dalszych zakątkach, gdzie zdało się jej, że jakieś widma się snuły. Z kolei wzrok przeniosła na twarze otaczających ją ludzi i zdumiała się. Twarze te były spokojne, pogodne, radością wewnętrzną jaśniejące. Jakaś moc i dostojeność biła z tych twarzy, z tych postaci, w nędzne siermiegi przybranych.

— To bohaterzy, szepnęła do siebie i z czcią przed niemi pochyliła czoło. Oni się nie boją, a ja drżę o nich i nadслушаuję. Oni rezykują życie, gotowi są na męczeństwo, a ja mam się wstawiać za niemi do Boga, ja, któram raczej do nich się modlić powinna, bo mnie ich cnota zdumiewa.

Cichy, metaliczny odgłos dzwonka oderwał ją od tych myśli. Kapłan karmił nędzarzy tej ziemi Chlebem Aniołów, Pokarmem do żywota wiecznego. Zakry

ła twarz rękami, bo z oczu jej łzy trysnęły i uczucie jakiego nigdy nie doznała i modlitwa, na jaką dotąd nigdy się nie zdobyła w takiej sile i w takim nastroju, tak nią owładnęły, że ani wiedziała, jak święty skończył się obrzęd i do innego przygotowywano się Sakramentu.

— Proszę, niech pani wstanie, zabrał tuż koło niej głos Krasnodębskiego i silne jego ramię z ziemi ją dźwignęło.

— Ci ludzie zanoszą prośbę, abyś ich dzieciom matką chrzestną być chciała, mówił dalej, prowadząc ją do stolu.

Zrobiło się jej jakoś dziwnie, słowa wyrzec nie mogła. Nie wiedziała czy ma się cieszyć z propozycji, czy od niej wymówić. Ale nie, nie może odmówić im tego, z radością czynny udział w tej uroczystości weźmie.

— Dobrze i owszem, odrzekła, wyciągając ręce do podawanego jej niemowlęcia.

Krasnodębski stanął przy niej. Kapłan ochrzcił jedno dziecieć, potem drugie, ponieważ był to chłopczyk złożono na ręce Krasnodębskiego. Zostali rodzicami chrzestnemi... skończył się obrzęd, matki z radością przytuliły do siebie łaską Chrztu św. ubogacone swe dzieci. Krystyna rozwiązała przyniesiony z sobą tłomoczek i podzieliła obie matki na przedce dla nich zebraną bieliznę. Wsunęła każdej w rękę srebrnego rubla na błogo-

slawieństwo i wymknęła się wraz z innymi z młyna. Na chwiejących się schodach Krasnodębski podał jej rękę. Drżała ze wzruszenia czy chłodu i zwróciła jego uwagę na dziwny jakiś szelest.

— Niech się pani nie obawia, to wiatr w szuarach szelesti. Gdyby groziło niebezpieczeństwo, bylibyśmy ostrzeżeni, bo tu dokola stoją nasze straże, czujne i baczne na każde niezwykłe poruszenie.

— Ach, tak!

— Inaczej być nie może. Musimy być ostrożni i do pewnego czasu udaje się nam zmylić czułość wrogów. Czy to tak długo będzie uchodzić, Bóg jeden wie i Bóg jeden od niebezpieczeństwa uchronić tylko może.

— Księże proboszcza, zwrócił się do księdza, odwieziemy pannę Krystynę, będzie to poniekąd pewna obrona, gdybyśmy kogoś niepożądanego w drodze spotkali.

— I owszem; nie może nawet być inaczej, Horpina niech idzie do domu, a my sobie we trójkę pojedziemy. Masz pan pewne obowiązki dla panny Krystyny, dodał z żartobliwym uśmiechem, skoro jej kumem zostałeś! Musisz baczyć, aby z dzisiejszej wyprawy bez szwanku wróciła.

— Pod opieką księdza proboszcza niczego się nie boję, a wspomnienie nocy dzisiejszej na zawsze w mem sercu pozostanie, odrzekła Krystyna.

Jechali zwolna przez rozmiękłe pole, gdy wtem zadudniły za niemi końskie kopyta.

— Bacznosc! szepnął proboszcz do Krasnodębskiego.

Jeździec zrównał się z bryczką i pilnie jał się przyglądać.

— Kto jedzie? spytał, niepewny czy poznał należycie.

— Sąsiedzi z niedaleka, odpowiedział Krasnodębski, nadrabiając miną, nie rad bardzo z tego spotkania. Skądże to jedziecie, panie Konstanty?

— Ja? Ot, zagraliśmy się w karty i takem się opóźnił. U mnie to rzecz zwyczajna, ale pan co tu robi o tej porze?

— Odwozę miłych gości, to się samo przez sie rozumie.

— No, no, szczęśliwy człowiek!... panna Bilecka i to do tego sama... to daje dużo do myślenia.

— Zdaje się, że jestem dostatecznym opiekunem panny Bileckiej, odrzekł na to proboszcz. Można mnie chyba było powierzyć panienkę, a i pan Stefan znany przecież jako człowiek poważny.

— Poważny, jak poważny, ale widać niezwykle szczęśliwy, kiedy nas wszystkich uprzedził i względы panny Krystyny tak prędko pozyskał.

— To jeszcze nie przesądzone, każdemu ubiegać się wolno, zawyrokował ks. proboszcz.

Drogi się rozchodziły, nastąpiło więc pożegnanie i pan Konstanty pogalopował

w swoją stronę, snując najfantastyczniej-sze co do tego spotkania domysły.

Krasnodębski zwrócił się do proboszcza.

— Fatalnie się stało, żeśmy się na tego paniczyka natknęli. To człowiek niepewny, a w każdym razie nieopatrzny, może się nieostrożnie wygadać i na trop naprowadzić. W tem miejscu już się zbierać uie możemy.

— Tak pan sądzisz? Nie mogę mu nie przyznać słuszności, tembardziej jeśli zazdrość nurtować w nimaczęła... a do tego bardzo podobne.

Krystyna z bolescią ręce zacisnęła.

— Więc przemnie mogliby cierpieć szlachetni obrońcy tych nieszczęśliwów, przemnie pan mógłby być narażony na przykrości i straty, to okropne!

— Niech pani będzie spokojna, nic się bez dopuszczenia Bożego nie stanie.

Za chwilę Krystyna biegła aleją ogrodową do domu, a bryczka Krasnodębskiego cicho turkotała w oddali.

IV.

Mroźny zimowy ranek otulał ziemię w leciuchne puchy śniegu, który kładł się cicho na puste, senną martwotą ścisnięte pola. Kładł się, na podwórza i dachy chat wieśniaczych, w których dziś przedświąteczny ruch panował. To wigilja Bożego Narodzenia, dzień największej radości, najmilszych rodzinnych pamiętek. Wszędzie przygotowania, rwetes, bieganina, w powietrzu czuć zapach pieczonego ciasta, w stodołach wykończają zwykłe roboty. Na twarzach wszystkich wyraz pogody i zadowolenia, nastrój skupienia i powagi.

W takim nastroju małą bryczuszką, w jednego konia zaprzężoną, jechał Krasnodębski do przeświecającego przez nagi drzewa dworku Bileckich. Myśl jąkaś żywo go zajmowała, pochłaniając całą uwagę, postanowienie jakieś ważne, rzucone na szalę losów jego życia. Patrzył na dworek, uśmiechał się z nadzieją, to znów coś jakby obawa czy niepewność ciężkie westchnienie z piersi jego dobywała. Na bryczce piękna zielona stała

choinka, dar dla młodszej dżiatwy Bileckich, którzy lasu iglastego prawie nie mieli. Obiecał, więc spieszysz ją dostarczyć, życzenia świąt złożyć i... w tej uroczystej chwili wyrazić osobiste pragnienia, które mu spokoju nie dają. Kochał Krystynę, widział, że mu jest życzliwą, stryjostwo oboje wielką mu przyjaźń okazywali, a więc po co dalej zwłoczyć i nie poprosić o rękę tej, z którą tak chciałby przyszłe życie swoje podzielić.—

Ledwie się przed gankiem zatrzymał, wypadła do niego cała gromadka dżiatwy, nie wyłączając starszych panienek — i radosnemi przyjęła go okrzykami.

— Jaki pan dobry, że przyjechał do nas, mówiła najmłodsza Basieńka, myślimy tak pana czekali.

— Nie tyle mnie, co choinki, prawda? rozśmiał się wesoło Krasnodębski.

— I pana także, zadecydował z przekonaniem 8 letni Staś.

Krasnodębski zapytał o Krystynę.

— Zajęta pieczeniem ciasta, odpowiedziano chórem.

— A będzie się można zobaczyć?

— O! tak, przecież może oderwać się na chwilę, żeby gościa miłego przywitać, odpowiedziała najstarsza Antosia.

Spojrzał na nią z wdzięcznym uśmiechem. Nie od dziś on tu już jakby swój za bliskiego uważany, starsi okazują mu życzliwość, młodsza dżiatwa garnie się do niego. Poparcia może być pewny.

Zdjął choinkę, potem z bryczki wyciągnął duże drewniane pudełko.

— A to do ozdoby, do przybrania drzewka, rzekł składając pudełko w ręce panny Toli.

— Ach, to już doprawdy zawiele, zaczęła zarumieniona panienka, ale Staś nie dał jej dokończyć, wołając rezolutnie:

— Wiwat, niech żyje pan Krasnodębski, nasz kochany pan....

— Niech żyje! za prezent dziękujemy, wołały obie młodsze dziewczynki. Podniosły się na niego rozpromienione oczy, wyciągnęły ręce, on śmiało się i weselej razem z niemi.

— Coście tu takiej wrzawy narobili? odezwał się niespodziewanie głos gospodarza domu.

— Pan Krasnodębski przywiózł choinkę, o! jaką śliczną choinkę, wołały młodsze dzieci.

— I jeszcze coś, jeszcze to pudełko.

— Pan Krasnodębski was psuje, a wy go za to na dworze zatrzymujecie. zamiast prosić do mieszkania. I sami ot bez ciepłego okrycia marzną na dworze. Marsz mi zaraz wszyscy do domu, ja teraz gościem się zajmę.

Pochwyconą choinkę i niosąc ją z tryumfem, halaśliwa gromadka znikła we dzwiach wchodowych.

Bilecki zwrócił się do Krasnodębskiego,

— Dziękuję ci, sąsiedzie, za uciechę dziaćwie sprawioną, tylko te dodatki do choinki to zbytek niepotrzebny.

— Wybacz pan, ale tak kocham pańską dziaćwę, że mi to sprawia prawdziwą przyjemność. One to rozumieją, więc przyjmują, jak dajmy na to, od jakiegoś wujaszka, czy starszego brata.

— Prawda to, żeśmy wszyscy z panem się zżyli, iż go za bliskiego sobie uważamy. I dziś jakżebyśmy radzi widzieli was, panie Stefanie, u swego wigilijnego stołu.

Wymówił te słowa ze szczególnym nacislem i serdecznym wyrazem. Krasnodęski gorąco uścisnął rękę do siebie wyciągniętą.

— Zaszczyt to dla mnie i radość wielka taki dowód przyjaźni i zaufania. ale niestety, w tym dniu uroczystym matki zostawić nie mogę, zmuszony więc jestem podziękować. Natomiast niech mi wolno będzie zjawić się tu w święta. Pobyt w tym domu, to najbardziej upragniona dla mnie przyjemność, najmilsza duszy i sercu zabawa.

— Prosimy więc, choćby na każdy dzień prosimy. Niech nas pan jako swych krewnych uważa.

Postanowił korzystać z chwili i przystępując bliżej, odrzekł z wielkim wzruszeniem:

— Sąsiedzie szanowny, nie mogę dłużej tacić, że pragnę do waszej przyłą-

czyć się rodzinie i stać się jej członkiem na życie całe. Jako opiekunowi, zastępującemu ojca pannie Krystynie, wyznaję, że ją kocham, że ją upatrzyłem sobie na towarzyszkę życia i matkę swoich dzieci, że tego zresztą i matka moja szczerze pragnie. Pana więc proszę o jej rękę, proszę o poparcie mej sprawy, gdybym na trudności natrafił.

Bilecki chwycił go w objęcia.

— Nie uwierzysz, panie Stefanie, jaką radością przejmuję mnie twoje oświadczenie. Komuż spokojniej mógłbym powierzyć tę, którą jak córkę miuję, jeśli nie twoje, człowiekowi zacnemu, poważnemu, który daje zupełną rękojmię jej szczęścia i losu pomyślnego. O ile to więc odemnie i mej żony zależy, najchętniej się zgadzamy, nie możemy jednak Krysi krępować, zresztą i sam byś na to się nie zgodził, aby z dobrej i szczerej woli nie miała oddać ci swej ręki.

— Z pewnością tak. Szukam serca i nie zniósłbym tego, gdyby w wolnym swym wyborze ono nie miało swobody.

— A więc rozmów się z Krysią, kiedy chcesz, czy dziś, czy w święta. My wam z radością pobłogosławimy. Ale ja dzieci strępowałem, a sam cię trzymam na dworze; chodźmyż do mieszkania.

Krasnodębski przyjmując zaproszenie, ponowił prośbę, by dziś mógł się z panną Krystyną porozumieć. To też

Bilecki tak urządził, że gdy ona w chwilię potem wyszła do gościa, zostawił ich samych, pod jakimś pozorem wymknąwszy się z pokoju. Krystyna w skromnej popielatej sukience, w śnieżnobiałym dużym fartuchu i takiejże chusteczce na głowie, bardziej niż zwykle uroczą musiła wydać. Mówiła o ucieście działochoinką sprawionej, o niecierpliwości, z jaką dnia tego oczekiwano.

— O! gdybyś pani wiedziała, z jaką ja niecierpliwością, z jaką nadzieję tu dążyłem, westchnął gorąco Krasnodębski.

— Kocha pan widzieć ten dzień uroczysty, lubi koliuś sprawić przyjemność.

— Albo sam czegoś czeka dla siebie, czegoś co szczęściem swojem nazywa.

Podniosła na niego wzrok poważny.

— Gdzie ma być to szczęście, nie wiem, ale życię jak najszczerzej, aby ono nie zawiodło pana, aby się stało jego udziałem.

Krasnodębski przystąpił bliżej i ujmując jej rękę, rzekł z zapałem:

— Szczęście moje jest w rękach pani, ty, panno Krystyno, możesz mi je dać jedynie... Oto dziś przybyłem cię prosić, zostań dozgonną towarzyszką mego życia i dzieci moich matką.

Krystyna cofnęła się niespodziewanym wyznaniem zaskoczona. Na twarzy jej odbiło się zdziwienie i zakłopotanie. Milczała chwilę, jakby jej ciężko było

zdobyć się na odpowiedź. Krasnodębski z bijącem sercem czekał, jak w obraz w nią wpatrzony.

Podniosła wreszcie na niego wzrok spokojny, ale jakiś smutny.

— Jakże mi przykro, jak bardzo przykro, że nie mogę się przychylić do państkiego życzenia. Uważałam pana za przyjaciela i nie kryłam się, że go po-ważam i szanuję, ale do małżeństwa tego jeszcze za mało, tam musi przemówić serce. A moje serce jeszcze spokojne, jeszcze czem innem, niż wyborem dozgonnego towarzysza zajęte. Owszem panu powiem szczerze, czego dotąd stryjostwu nie powiedziałam, że misię praca samodzielna i życie dla szerszego niż rodzina ogólnu uśmiecha.

Krasnodębski stał blady, jakby piorunem rażony. Wyciągnęła do niego ręce ze współczuciem.

— Wybacz, przyjacielu, że przykrość ci wyrządziłam, ale czyż mogę zadawać kłam swoim uczuciom i swoim na życie zapatrywaniom? Czy mogę podejmować się obowiązków, do których nic mię nie pociąga, bo myślę o czem innem? Chciej mnie pan zrozumieć i jeśli jesteś moim przyjacielem, nie żądaj odemnie ofiary.

— Ach, tak, jeśli to ma być przykrą ofiarą, żądać nie mogę... nie chcę.

Zmieniony i drżący, odsunął się od niej.

— Jakiż mię straszny zawód spotyka! Prysły złote sny o szczęściu, życie

dla mnie urok wszelki straciło. Ale czy to ostatnie pani słowo? Czy nie zostawia mi pani żadnej nadziei, że może kiedyś z czasem zmieni się jej przekonanie, pozną, że lepiej iść przez życie z kimś bliskim, oddanym sobie, kochającym, u którego można mieć pewną obronę, z kim radość swą czy smutek podzielić... Milczy pani, a więc już wszystko skończone, gmach marzeń moich rozpadł się w ruiny, a biedne moje sieroty nigdy już matki mieć nie będą.

— Panie Stefanie, nie bierz pan tego tak tragicznie. To, co dziś się panu zbyt ciężkiem wydaje, do większego może w przyszłości szczęścia drogę toruje. Godzien pan jesteś serca kobiety szlachetnej i taką spotkasz z pewnością, bo jeszcze w świecie znajdą się istoty, co cię potrafią ocenić i zadowolnić.

— Szukać ich nawet nie będę. Poza panią nikogo mieć nie chcę. Pozostaże mi tylko praca i cierpienie, to widać jedynie dla mnie przeznaczone. Niech się dzieje wola Boża.

Krystyna blada ze spuszczonymi oczyma, milczała chwilę, wreszcie rękę do niego wyciągnęła.

— Proszę pana na wszystko co mu najdroższe, racz mnie zrozumieć, nie chciałam mu zrobić przykrości, ani zerwać łączącej nas przyjaźni. Nie oddam ręki mej nikomu, o tem się pan z czasem przekona, a że jej panu oddać nie mogę,

cóżem temu winna? Ufam mimo wszystko, ufam, że pan mi życzliwym zostanie i że się spotykać będziemy.

— Przyjaźni mej dla pani nigdy nie odwołam, ale spotykanie się nasze za niemożliwe uważam. Po co rozjatrzać ranę, której zagoić niepodobna? Żegnam panią.

Skłonił się szybko i wybiegł z pokoju. Krystyna oprzytomniawszy, rzuciła się ku drzwiom, chciała zatrzymać go, zwołać, ale doleciał ją głuchy turkot odjeżdżającej bryczki... było zapóźno! Upadła na krzesło, rękami oczy zasłaniając. Ból ścisnął jej gardło, z oczu łzy rzęsiste popłyneły. Przykro jej było, że temu człowiekowi zacnemu przyczyną cierpienia się stała, ale czyż nie miała prawa pójść za własnym przekonaniem, ucieczyć się swobodą, wolnością panieńską, pobujać jak ptaszę niczem nie skrepowane? Ona w życiu dopiero wchodziła, nie dziw więc, że nie pilno jej było brać na sieć ciężkie brzemię obowiązków, do których nie czuła powołania.

Drzwi z trzaskiem się otwarły i stanął w nich pan Bilecki.

— Krystyno, co się stało? Czemu Krasnodębski odjechał tak prędko, z nikim się nie pożegnawszy? Czy może być abyś mu odmówiła?

Krystyna podniosła się z krzesła, łzy już oschły, była smutna, ale spokojna.

— Stryju, rzekła poważnie, przyjąć propozycji pana Krasnodębskiego nie mogę, bo do zamążczenia nie mam przekonania.

— Niemądra dziewczyno, odrzuciłaś bez namysłu najlepszą w okolicy partię! Cóż z tego, że ma dzieci, ale ma majątek. Byłabyś panią niezależną, nie znającą co to niedostatek, co o chleb troska, a przystem to taki człowiek poczciwy.

— Nic mu nie ujmuję, nic zarzucić nie mogę, ale zamęcia nie chcę, nie!

— Rozum straciłaś doprawdy, toż to jedyna droga do szczęścia, a jeszcze dla takiej, jak ty, sieroty.

W oczach Krystyny łzy zaświeciły, z dumą przecież głowę podniosła.

— Sierotą jestem, to prawda, ale czuję się zdolną do zapracowania na siebie, i nie tylko na siebie ale i drugim mogę być pożyteczną. Nie chcę tu dłużej zawadzać, nie chcę wchodzić w oczy Krasnodębskiemu, więc pozwól mi, stryju, miejsca sobie poszukać np. objąć jaką szkołę na wsi, wszak mam do tego prawo i odpowiednie świadectwa.

Rzucił się Bilecki nięcierpliwie i chciał coś odpowiedzieć, ale żona mu przeszkodziła, bo nagle się zjawiwszy, porwała Krystynę w objęcia, wołając:

— Nie puścimy cię na tułaczkę po świecie, musisz pozostać z nami.

Krystyna płacząc do niej się przytuliła. Bilecki czuł się rozbrojony.

— No, źle się stało, ale trudno, domu ci za to nie wymówimy. Nie dziw się, że tak mnie ta odmowa obeszła, bom ci stryj rodzony, co cię jak córkę kocha i szczęścia twoego pragnie. Nie chciałaś,

trudno, bodajbyś tego nie pożałowała w przyszłości. Nie moja w tem wina. Nie ma co, przepadło, wracajcie do swoich zajęć, bo wieczór się zbliża. Dzień wigilijny taki krótki.

— I taki smutny dla nas w tym roku, westchnęła pani Bilecka.

V.

Smutniejszy on jeszcze był dla Kra snodębskiego. Opuściwszy pośpiesznie dom tak mu miły, do swego własnego nie spieszyl. Pojechał w przeciwną stronę, przez pole do lasu, musiał ochłonąć z wrażenia, uspokoić się cokolwiek, nim przed matką stanie. Jej oczy odkryłyby natychmiasł co się w duszy syna dzieje, a on wolałby dziś zataić to przed nią, by nie psuć świątecznego nastroju. Nie udało mu się jednak. Pomimo dłuższej jazdy, pomimo zmagania się z sobą, by stłumić ból i rozpacz, które nim miotaly, wrócił do domu taki zmieniony, że matka ujrzała go aż krzyknęła.

— Co tobie? zaczęła wypytywać, czyś chory, czy cię jakieś nieszczęście spotkało? Nie ukrywaj przed matką, powiedz, odkryj mi ranę twoego serca, bo nieświadomość od wszystkiego gorsza.

— Uspokój się, mamo, nic mi nie jest, zziąblem, zmęczyłem się trochę.... próbował zmylić jej czujność. Ale daremnie, serce matki przeczuć, odgadnąć potrafi, oszukać się nie da.

— Chodź, siądź przy mnie, pomóżmy otwarcie, wszak dwoje nas tylko najbliższych sobie na świecie.

Pociągnęła go na kanapkę i koło siebie usadziwszy, głowę jego do swej piersi przytuliła i tak serdecznie, tkliwie przemawiać zaczęła, że nie wytrzymał, ale cały swój ból, całą gorycz zawodu, całą uczuć potęgę przed nią wypowiedział i jak dziecko użalił na swą niedolę. To mu przyniosło ulgę, pewne uspokojenie, a matka nad własnym sercem panując, pociechę i szczęście w przyszłości wróżyła. Lubił słuchać jej dowodzeń, wierzyć w jej przepowiednie, poddawać się jej, pieszcztom, odszedł też od niej, jeżeli nie pocieszony, to znacznie spokojniejszy, zrezygnowany, gotów do nowej walki i cierpienia.

Nie przeczuwał jak to cierpienie było blisko.

Po wieczerzy wigilijnej, którą tylko szczebiot rozradowanej choinką działy rozweselał, Krasnodębski dorocznym zwyczajem wszedł do izby czeladnej, by ze służbą podzielić się opłatkim. Stół biało nakryty piętrzył się już stosami chleba i płacka, a duże misy rzędem obok komina stojące nęciły wygładzonych całodziennym postem biesiadników. Tych była liczba pokaźna, a między nimi kilka osób skromnie bliżej proga się trzymających, którzy tu z wiosek pobliskich zostały zaproszone. To unici najbiedniejsi, najbardziej przez ciemiężycieli ograbieni,

którym kawałka chleba brakło. Dla tych na ławie pod ścianą w powiązanych tłemoczkach zapomoga z powodu święta była przygotowana. Coraz taka zapomaga szła z tego dworu w różne strony, tem więcej w dzień święta dorocznego Krasnodębski czuł się do tego obowiązanym, by tym biedakom za wiare męczonym udzielić pomocy, ulżyć w niedoli.

To też kiedy próg izby przekroczył i ze stosem opłatków na talerzu, stanął w pośrodku, radosny gwar go powitał, a gdy „Niech będzie pochwalony“ powiedział wszyscy z czcią pochylili głowy, z żywem przejęciem odpowiadając; „na wieki wieków. Amen.“ Była to dla nich chwila uroczysta, w której jak nigdy poza nią czuli się bliższym dziedzica, czuli, że różnicę stanu zacierała jedność wiary, która wszystkich równa jednocozy, wszystkim jednakże Boga chwalić każe i jednakiej od Niego nagrody oczekiwając.

— No, moi drodzy, pzzemówił Krasnodębski, przychodzę z wami chleb bratniej zgody i miłości rozłamać. Przychodzę by wam życzyć wszelkiego dobra tak doczesnego jak i wiecznego, według najmiłościwszych i najmędrznych zamiarów Bożych. Życzę niech wam Bóg błogosławi w życiu i w pracy, udziela zdrowia, siły i umiłowania waszego skromnego stanu, bo ten tylko szczęśliwym czuć się może, kto na swój stan i trud swój nie narzeka, ale go z poddaniem woli Bożej przyjmuje.

— A wam, zwrócił się do przybyłych wieśniaków, życzę wytrwałości i męstwa w walce, którą obecnie prowadzicie. Święta to walka o skarb najdroższy na świecie, o wiarę ojców i dziadów waszych. Wróg się sroży, ale Bóg was wspierać będzie i da wam doczekać zwycięstwa. Ufajcie i bądźcie pewni, że nadzieję chwila wybawienia. W to święto nasze katolickie rozłamcie z nami opłatek na znak jedności z Kościolem rzymskim i Ojcem Świętym, którego dziećmi jesteśmy.

— I my, panoczku — i my na zawsze przy rzymskim Kościele pozostaniem; niech się co chce dzieje, od wiary naszej nie odstąpimy.

— Niech was Bóg wspiera i dopomaga.

— Amen, zawtórzyli wszyscy obecni.

Nastąpił moment rzewny dzielenia się opłatkiem, padały z obu stron krótkie słowa życzeń, do nóg pana pochyłały się głowy jego domowników, a jeszcze bardziej zaproszonej braci wieśniaczej. W niejednym oku łza się zaperliła, z niejednej piersi podniosło się westchnienie i niejednem sercem szarpał ból tajemny. A jednak gorzały twarze, uśmiechały się usta. To była chwila radosna, a po niej będzie co Bóg da.

Krasnodębski obchodził wszystkich, do niego wszyscy się cisnęli; rozdzielał podarki, dawał pieniądze, słyszał słowa radości, podziękki i dumą szlachetną serce mu biło. Bo szczęśliwy kto się czuje

panem we własnym domu, na własnym kawałku ziemi, a szczęśliwszy jeszcze kto może i chce drugim do szczęścia dopomagać. On to pragnął uczynić, a gdyby tylko było w jego mocy, chciałby pocieszyć i wesprzeć i przygarnąć do siebie zwłaszcza tych wszystkich męczonych i prześladowanych. Chciał drugim łzy ocierać, bo sam był smutny i nieszczęśliwy.

Na dworze śnieżna szumiała zawieja, w izbie było ciepło, gwarno, miło. Bawiono się swobodnie, nie przypuszczając żeby ich kto śledził i podglądał. A tu za oknem snuły się dwie ciemne postacie, dwie pary błyszczących oczu do szyb okiennych przylgnęło, bacznie obserwując ruch każdy, chciwie każde słowo chwytając. Gdy jednak po kolacji z izby wychodzić zaczęto, nie było już nikogo, nic obecności niepożądanych gości nie wskazało. Cisza głucha i martwości panowały dokoła, a jak okiem zajrzeć wszędzie było biało! biało!

Z izby czeladnej Krasnodębski udał się prosto do pokoju matki, która czując się trochę niezdrową, wcześniej do łóżka się położyła. Wszedł cicho, sądząc że śpi, ale nie spała.

— Jak to dobrze, żeś przyszedł, rzekła z czułością, jeśli nie bardzo zmęczony, siądź tu przy mnie.

— I owszem; spać się już nie położę, za parę godzin trzeba się wybierać na Pasterkę.

— Taka brzydka pora, możebyś tej myśli zaniechał, a jutro rano wysuchał nabożeństwa.

— Nie, mamo, nie mogę. Ludzi zachećałem do pójścia na Pasterkę, a sam miałbym się od tego obowiązku uchylić? To niepodobna, przykład mi z siebie dać trzeba. Będą tam i unici, którym po nocy łatwiej wemknąć się do kościoła.

-- Zanadto ty się dla unitów poświęcasz, zanadto się nimi opiekujesz; aby to na nas jakiego nieszczęścia nie sprowadziło.

— Trudno, moja mamo, to co robię jest obowiązkiem każdego prawego Polaka, a jak przyjdzie cierpieć, to przyjmę i to z rezygnacją, dziękując Bogu, że mi dał się urodzić katolikiem.

— Tak, westchnęła matka, jak twoego ojca, tak i moja rodzina od katolickich przodków pochodzi, ale jest coś co mnie obawą napętla, a o czem ty nie wiesz jeszcze...

— Cóż to takiego?

— Synu mój, twoja matka wskutek zaszłych okoliczności chrzczona była w cerkwi unickiej i tam jej akt chrztu został zapisany... Nie podejrzewając tego wrogowie, ale gdy się będziesz narażała, gotowi wyszukać wyśledzić i...

— I cóż choćby wyszperali? ani mi to zaszkodzi, ani zwróci z drogi obranej, owszem będzie raczej zachęta do pracy i poświęcenia dla tych, co tak niewinnie

cierpią prześladowanie, jak ty, mamo, nie jesteś winną, żeś w unickiej cerkwi ochrzczona.

— Więc cię nie trwoży to odkrycie?

— Bynajmniej. Żenić się nie myślę, więc i metryk wyjmować nie potrzebuję, a wszędzie jako katolik zapisany, o przynależność unicką nie mogę być posądzony.

— Bodajby tak było, bodajby się moje obawy nie sprawdziły, ale dziwny dręczy mię dziś niepokój, coś jakby przeczucie nieszczęścia nad nami wiszącego.

— Porzuć, mamo, smutne przewidywania; są one wynikiem wrażenia, jakie na tobie wywarła wiadomość o bolesnym ciosie, który mię díś dotknął. To było najgorsze, co mogło mi dokuczyć, pozatem niczego się nie obawiam. Bądź spokojna, mateńko — i ten smutek przejedzie, pogodzę się z losem i żyć będę tylko dla ciebie i dzieci.

W milczeniu przygarnęła go do siebie i okryła pocałunkami. Jak powiew chłodzącego wiatru miłą mu była ta piekszczota, bo pomimo udawanego przed matką spokoju, cierpiał strasznie, a trwoga tajemna i jemu serce ściskała.

Pożegnał matkę i chciał odejść, gdy jakiś szmer i tupanie na ganku słyszeć się dało.

— Cóż to jacyś spóźnieni goście? odezwał się zdziwiony. Muszę wyjść do nich. Dobranoc.

— Boże, Boże, zmiłuj się nad nami! szepnęła drżąącymi ustami pani Krasnodębska.

Do uszu jej doleiał odgłos ciężkich kroków w sieni, otwieranie drzwi dalszych, coś jakby brzęk pałaszy, a potem cisza zupełna. Sięgnęła po dzwonek na stoliku, ale na jego dźwięk nikt się nie zjawił. Czekała więc pewna, że syn pośpieszy objąć ją o tem, co zaszło. Jakoż po chwili rozległy się w przyległym pokoju przyśpieszone kroki jakby paru osób, lecz we drzwiach stanął sam tylko Krasnodębski. Był blady, usta mu drżały, wzrokiem smutnym objął pokój, a potem matkę, która do niego ręce wyciągnęła, wołając;

— Chodź, powiedz mi, k'o do nas przyjechał.

— Później się dowiesz, mateczko, tymczasem pożegnać cię muszę, da Bóg, nie na długo.

— Jakto! wyjeżdżasz?! W tą noc świętą wyjeżdżasz nie do kościoła! co się stało?

— Wzywają mnie w ważnej sprawie do Siedlec.

Okrzyk bólu i rozpaczy wydobył się z piersi nieszczęśliwej matki. We drzwiach pokoju spostrzegła stojącego żandarma i — zrozumiała wszystko!...

— Synu, dziecko moje, nie porzucaj mnie!

— Uspokój się, mamo, powróczę, nie mają mi nic do zarzucenia.,.

Chwyciła go w ramiona, usiłując zatrzymać, ale on łagodnie z objęć się jej

wysunął, a słysząc ode drzwi niecierpliwe słowa naglące do pośpiechu, obsypał pociełunkami twarz jej i ręce.

— Bądź zdrowa, mamo, uściśnij odemnie dzieci. Niech was Bóg ma w swej opiece.

Wybiegł z pokoju, by płaczu matki nie słyszeć, a ta ręce i oczy podniosła do nieba, wziewając stamtąd ratunku i pociechy. Na dole znowu kroki zadudniły, zaturkotała bryczka... biedna matka jęknęła i bezprzytomna upadła na poduszki.

VI.

Cicha, święta noc Bożego Narodzenia była na schyłku, kiedy z parafjalnego kościoła, wypłynęła fala ludzi i podzielona na mniejsze i większe gromadki, rozproszyła się po wszystkich drogach i ścieżkach. Głuchą pustkę zimowego krajobrazu ożywił wnet wesoły rozgwar i śmiechy i tony kolęd radosnych. Cieszyli się ludzie, śpiesząc do swych zagród, by tam zanieść błogosławieństwo Dzieciątka Bożego, zanieść tego ducha wiary i nadziei, jakim ich serca ta wielka uroczystość napełniała i krzepiła. Między wracającymi z nabożeństwa znajdowali się i Bileccy z całą swoją rodziną. Szli pieszo, bo kościół mieli tuż za wioską, szli w mieszkańców w ten tłum gwarny i rozradowany, ale z nim tego wesela nie dzielili. Tak oboje Bileccy, jak Krystyna, a nawet starsza dziaćwa, byli jacyś skupieni, milczący i niewiadomo czy pod wrażeniem wczałszego zajścia, czy z jakiego innego powodu, jacyś niespokojni i trwożni. W kościele modlili się żarliwie, gorąco, a teraz żal dziwny ści-

skał im serca, a w pamięci stawały smutne obrazy cierpień piętrzących się dokoła. Jeszcze przytem i Krasnodebskiego w kościele nie dostrzegli, co ich niemile uderzyło. Żadnego on święta nie opuścił, by nie być na Mszy św. a dziś, w taką uroczystość niema go, to już się chyba coś stało. A Bileccy tak widzieć go chcieli, powitać i słowem serdecznem pocieszyć. Chciała go i Krystyna spotkać, bo jej serce tkliwe znieść nie mogło tej myśli, że komuś przykrość wyrządziło, a może i życie złamało, a tym kimś był człowiek zacny, poczciwy, kochający.

Bilecki zwolnił kroku, puszczaając przodem kobiety.

— Idźcie, przygotujcie śniadanie, ja zaraz nadejdę, rzekł i zawrócił w stronę kościoła. Minął jedną, drugą gromadkę, wtem przystąpił do niego chłop siwiejący już, niemłody w wielkim baranim kożuchu.

— A, jak się macie, Szymonie, zwołał z ukontentowaniem Bilecki, dobrze, że was spotykam. Co się stało z waszym panem, żeśmy go dziś w kościele nie widzieli?

— Och, panie dziedzicu, nieszczęście wielkie na nas wszystkich spadło.

— Co takiego! na litość, mówże, mów, choroba czy strata jaka?

Chłop frasobliwie wziął się za głowę, potem trwożnym wzrokiem rzucił dokoła.

— Nieszczęście, panoczku, wielkie nieszczęście, przyszli w nocy żandarmi i naszego pana zabrali.

— Co ty mówisz?... zabrali?! i gdzie powieźli?... nie wiecie?

— Ponoć aż do Siedlec, do głównego naczalstwa. Oj. dolo nasza nieszczęśliwa, co my teraz poczniemy biedne sieroty!

Bilecki stał jak skamieniały. W głowie mu szumiało, ból szarpał serce. Nowy cios dotykał go jako Polaka i jako przyjaciela. Odczucie niewoli i ciągłego niebezpieczeństwa do wściekłości go pobudzały, a czuł się bezsilnym, zgnębionym, nie mogącym nic poradzić ni sobie ni komu.

— A cóż na to pani starsza? zapytał po chwili.

— Co? Jak padła bez zmysłów, tośmy ją ledwie do życia przywrócili, a teraz płacze i ręce łamie, że serce się kraje na taką boleść okrutną.

Bilecki smutnie pokiwał głową.

— Przyjadę do was niedługo. Powiedz to pani.

Chłop się poklonił z widocznem rozradowaniem.

— O, niechże pan przyjedzie, poradzi, bo wszyscy jak błędni chodzimy.

Rozstali się. Bilecki podążył na plebanję.

Godzina dobra upłynęła nim stamtąd do domu powrócił. Czekano go nie-

cierpliwie i z pewnym niepokojem, nie pojmując gdzieby się zatrzymał tak dugo. Pani Bilecka, świadoma smutnego nastroju męża, nie zrobiła mu żadnej wymówki, zwołała tylko wszystkich do śniadania. Gdy jednak podając filizankę z kawą baczniej się w twarz jego wpatrzyła, krzyknęła zaledkniona.

— Stanisławie, co się stało? Takiś zmieniony, czy miałeś jaką przygodę? czy cię jakieś nieszczęście spotkało?

— Mnie... nie, ale naszego przyjaciela sąsiada...

— Kogo? kogo? zapytano chorem.

— Krasnodębskiego!... Został aresztowany i wywieziony dziś w nocy.

Okrzyk zgrozy wydobył się ze wszystkich piersi. Bilecki spojrzał na Kłystyńę. Stała marmurowo blada, z oczyma spuszczoneymi na obrus na stole, usta jej drżały wzruszeniem, które daremnie pokryć usiłowała.

— Dziwna dziewczyna, pomyślał. Ręki mu odmówiła, a jego nieszczęście tak ją dotknęło,

Pani Bilecka biadała nad smutnem wydarzeniem, przewidując jak najgorsze jego dla całej rodziny następstwa. Wszyscy, młodszej działy nie wyłączając, głęboko je odczuli. W ogólnem przygnębieniu zasiedli do stołu, ale nikt nie miał chęci do jadła, ogólnie o radości wielkiego święta zapomniano.

— Ha, łotry, widząc to mówił Bilecki, taką dzień uroczysty do swych nikczemnych zamiarów wybrali!

— Co się tam w tej biednej rodzinie dziać musi, westchnęła pani Jadwiga.

— Zaraz jadę do nich, aby coś pomóż i pocieszyć.

— I jakbym chętnie pojechała, mówiła Bilecka, ale jako zupełnie obca dla pani Krasnodębskiej sądzę że nie byłabym pożądanym gościem.

— Zapewne, pierwszą wizytę na później lepiej dłożyć. Pojadę sam i może na coś się przydam.

— Stryju, ozwala się w tej chwili Krystyna, zabierz mnie z sobą, ja muszę tam jechać koniecznie.

— Ty?! zawała z najwyższem zdziwieniem Bilecki.

— Tak, stryjaszku kochany, nie odmówisz mi tego, nieprawdaż?

Popatrzył na nią podejrzliwie, nie pojmując coby to mogło znaczyć. Twarz jej blada przed chwilą, teraz żywym rumieńcem płonęła, oczy nabraly dziwnego blasku, bił z nich wyraz silnego postanowienia i zapału.

— Czego ty odemnie żądasz, dziewczyno? Zniweczywszy pragnienia tej rodziny chcesz jeszcze patrzeć na ich cierplenie!

— Chcę je osłodzić i wziąć w niem udział stanowczy.

— Nie mogę popierać szalonych zamysłów, nie wiedząc zwłaszcza do czego one prowadzą.

— Bądź spokojny, stryjaszku, zamiary moje nie zaszkodzą, ani ujmy nikomu nie przyniosą. Chcę nagrodzić krzywdę wyrządzoną tej rodzinie, bo nie mogę przenieść na sobie, aby ten, co cierpi za wiare, za poświęcenie dla współbraci, cierpiał jeszcze i z mego powodu. Wczoraj nie mogłam mu dać więcej nad zapewnienie przyjaźni, dziś chyle przed nim głowę jak przed ręczennikiem. Dlatego nie odmówisz mi, stryju.

— A toż to utrapienie z temi dziewczetami, niechże kto zgadnie co zrobią za chwilę. Jak ta chorągiewka na dachu, byle wiatr dmuchnął, już się odwróciła w inną stronę.

— Tu nie podmuch wiatru, stryjaszku, tu padł piorun, nie dziw zatem, że niejedno zdruzgotało.

— No, jedź już, jedź, zobaczymy jak cię tam przyjmą.

W godzinę potem mknęli we dwoje małemi saneczkami po świeżym, lśniącym śniegu, jechali pograżeni w milczącej zadumie, myśląc o nowej roli, jaka ich cekała. Gdy stanęli przed gankiem, Bilecki oddawszy konia chłopakowi, polecił starej służce, co wyszła na spotkanie, aby swej pani o jego przybyciu oznajmiła. Otrzymał zaproszenie, poszli za starą Małgorzatą do jej pokoju.

Widok, jaki im się na wstępie przedstawił, godzien był pendzla artysty, godzien i serdecznej łzy współczucia. W głębokim fotelu, czarno ubrana siedziała poważna matrona, z wyrazem takiego bólu w całej postaci, jaki tylko matka najbardziej nieszczęśliwa odczuć jest zdolna. Przez jedną noc pobielały jej włosy, twarz zmizerniała, oczy zapadły. W rękach kurczowo zaciśniętych trzymała różaniec, a u jej nóg na dywaniku dwie małe dziewczyneczki bawiły się otrzymanemi na gwiazdkę podarkami. Bawiły się, coraz przecież smutne oczeta zwracając na babunię, ze zdziwieniem i z lękiem, dlaczego ta babunia taka dziś smutna i milcząca.

Bilecki podszedł do siedzącej, Krystyna w pobliżu drzewi przystanęła, by na sie nie zwracać uwagi. Dopiero gdy pierwsze słowa powitania i współczucia przyjęte zostały, podeszła bliżej.

— Moja bratanka, Krystyna, przedstawił Bilecki.

Pani Krasnodębska drgnęła, niespokojnie poruszyła się w fotelu, w oczach jej łzy się zaszklily. Krystyna u kolan jej przykłękła.

— Pani, rzekła głosem uroczystym, ja jestem ta, na którą padł wybór jej syna, aby mu była żoną i jego dzieci matką. Wczoraj nie mogłam zadowolić tegożyczenia, nie czułam się powołaną do spokoju rodzinnego ogniska, ale do niesienia pomocy nieszczęśliwym prześlado-

isanym, do złagodzenia choć w jednym wypadku wynikłego stąd bólu i troski. Nie mogę oddać ręki człowiekowi, dla którego czułam tylko przyjaźń i szacunek. Dziś zmieniło się wszystko. Tego człowieka dotknęło nieszczęście, które w mem sercu głębsze zbudziło uczucie, nad tym domem zawisło prześladowanie, tu więc dla mnie miejsce być może. Jeśli podobna, przyjmijmię, pani, za córkę, za wspólniczkę swych udręczeń i niepokoju, za opiekunkę tych dziatek. Niech o tem pan Stefan usłyszy, niech wie, że gdy wróci do domu, zastanie u jedno jeszcze serce nietylko życzliwe ale kochające, które losy jego pomyślne czy smutne podzielić gotowe. Ta pewność może będzie dlań pociechą, uspokojeniem, doda mu sił do przetrwania próby, przez którą w oczach naszych wyrósł na mężczyznika. Boli go osierocenie matki i dzieci, niechże się dowie, że znałazł się ktoś, co chce im służyć, pomagać, roztoczyć troskliwą opiekę...

Pani Krasnodębska słuchała tej mowy bez poruszenia, zda się, bez oddechu, wpatrzona w Krystynę, jak w jakieś senne zjawisko. Piękną bo też była ona w swej ciemnej sukience, z lekkim rumieńcem na twarzy, z iskrami zapału w oczach. Głos jej melodyjny brzmiał mile, słodko, uwydatniając wypowiadane słowa, w które słuchającej wierzyć się nie chciało i pod których wrażeniem mienił się wy-

raz jej twarzy, przechodząc od zdziwienia i niechęci aż do radosnej rzewności.

— Czy to być może, czy mnie słuch nie myli, że pragnienie syna mego, a więc i moje mogłoby być spełnione? szepnęła wzruszona.

— Chciej pani wierzyć w szczerość słów moich i odtąd jak córkę traktować.

— Znam cię z opowiadania i wierzę... bądź mi córką, ale biedne dziecko, ani wiesz, na co się narażasz, łącząc swe losy z rodziną, na której mściwa ręka wrogów spoczęła.

— Właśnie dlatego tu się wpaszam, abyมm pocieszyć i ulżyć w czemś mogła. Ufam, że Bóg dobry da nam dni szczęścia doczekać.

— Oby tak było, bądź mi dobrą wrózką, bo serce matki z trwogi obumiera.

Serdecznie przygarnęła ją do siebie, przytuliła, rzewnymi łzami oblewając.

— No, to dopiero niespodzianka. podniósł głos milczący dotąd Bilecki. Doprawdy, anim wiedział co zamierza uczynić. Taka to teraz młodzież!... przed najbliższym opiekunem sekret utrzymuje zamiast się poradzić, poprosić o pozwolenie,

— Stryju, przecież mi tego za złe nie wezmiesz, bo to zgodne z twojem życzeniem.

— Niechże już tak będzie, tylko przestańcie płakać, moje panie, boć to w takiej chwili nie wypada.

— Sąsiedzie szanowny, trudno mi żły powstrzymać, gdy myślę o moim

biednym Stefanie, czy go nie minie szczęście, tak wspaniałomyślnie przez pannę Krystynę zaofiarowane.

— Eh, tak źle nie będzie. Przyjdzie jeszcze znieść może niejedno, ale w końcu uwolnić go muszą, o tem jestem przekonany.

— Nie wiem, nie wiem, mam jakieś smutne przeczucie, ale może Bóg nas pocieszy. Gdyby go tylko w jaki sposób można zawiadomić.

— Mam zamiar wybrać się do Sieleck, może mi się uda go zobaczyć. Chciałem właśnie z panią parę spraw omówić. cóż kiedy ta narzucająca się na synowę dotąd przyjście mi do słowa nie dała.

— Teraz już nie będę przeszkadzać; pójdę zapoznać się z dziećmi.

Pani Krasnodębska zadzwoniła.

— Podajcie herbatę, rzekła do służącej. Przejdzmy do jadalnego pokoju, tam sobie pogadamy.

VII.

W ponurej celi więziennej przez małe u góry okienko Krasnodębski spoglądał w niebo, goniąc oczyma smutnemi przesuwające się obłoki. Miesiąc już tu siedział i nie miał nadziei rychłego uwolnienia. Owszem do postawionych mu zarzutów w ostatnich dniach przybył nowy... wynaleziono metrykę matki i jako od unity zażądano by od Kościoła katolickiego odstąpił i w ten sposób nagrodził popełnione winy, Na taką propozycję krew w nim zawrzała, nie rachował się ze słowami i może coś nieopatrznie powiedział, nie mając dość siły by ukryć swe oburzenie. Spotkał się za to ze straszna pogrózką wywiezienia z kraju!.. i oto teraz w bezsilnej rozpaczce miota się nieszczęśliwy, tesknotą do swoich i okropną obawą dręczony.

— Kraju mój drogi, ziemio moja rodzinna i wy wszyscy umiłowani moi, czyż mam was utracić, pożegnać?! O! matko moja, biedna, nieszczęśliwa, kto ranę serca twoego zagoi, kto cię w starości strzedz będzie?

Rozpaczenie ręce założył na głowę i podszedł do okienka, by choć nieba skrawek zobaczyć.

Wtem zgrzytnął klucz w zamku, we drzwiach otwartych stanął stróż więzienny, wzywając go by szedł za nim. Znał on te wezwania i drogę do kancelarii więziennej codzień prawie odbywał, ale dziś serce gwałtowniej mu uderzyło.

— No, Stefan Iwanowicz, czyście się namyślili? zagadnął go na wstępie jeden z zebranej tam starszyszny. Wybierajcie, albo pójść za radą naczalstwa i wrócić szczęśliwie, albo... jutro już was w kraju nie będzie, już nigdy swoich nie zobaczycie. Ot, tam za ścianą czeka na was narzeczona, od kilku tygodni podobno już się stara, aby was zobaczyć, czy chcecie ją nadal zasmucać? A krasawica jakich mało.

— Nie mam narzeczonej, a gdybym ją miał, to katolickę, jak i ja jestem katolikiem, a katolikiem, który za nic w świecie nie splami się taką podłością, by miał się zaprzeć swej wiary.

Dalsza mowa do niczego nie doprowadziła, oświadczono mu tedy:

— No, możecie się widzieć z narzeczoną i tym waszym przyjacielem, co z nią razem przychodzi, ale wiedźcie, że to już ostatnie wasze widzenie, że ją na zawsze pożegnać musicie. Wasza matka i wasze sieroty zginą tu, jak wy tam zginiecie, kiedyście się uparli przy swojem.

Krasnodębski zbladł, ale silą woli opanował wzruszenie, by go swym katom nie pokazać. Chwiejnym krokiem wyszedł za żołnierzem, który go do jego celi wprowadził. Ledwie stanął u progu, okrzyk zdumienia wydobył się z jego piersi. Ujrzał Bileckiego, to nic, ale Krystyna tu? u niego? i to pod mianem narzeczonej? Zawahał się, jakby przestraszył, a ból dotkliwszy, niż ten przed chwilą szarpał mu piersi. Bilecki podszedł i chwycił go w ramiona.

— Nareszcie po tylu, tylu staraniach doczek liśmy chwili widzenia się z tobą! Ach, cośmy wycierpieli oboje! Ale ty nic nie wiesz. Krystyna niech sama ci powie.

Krystyna ręce do niego wyciągnęła.

— Przyjacielu, bracie, czy chcesz bym kiedyś żoną twą została? czy nie cofasz tego, coś mi przed miesiącem powiedział?

— Pani, co to ma znaczyć?

— To, że chyle przed tobą głowę jak przed męczennikiem, że kocham cię za twe szlachetne czyny, i za stałość w wierze, od której odwieść cię chciano, że chcę ci osłodzić bóle cierpienia zapewnieniem, iż pragnę zostać twą żoną i dozgonną życia twoego towarzyszką.

— Aniołem jesteś, ale nadaremna Twoja ofiara, ja jej ani przyjąć ani z niej skorzystać nie mogę. Zakrył twarz rękami i głośnym łkaniem wybuchnął. Bilecki poprowadził go do tapczana, usadził, uścisnął, czeka-

jąc aż przejdzie ten wybuch rozpaczny. Krystyna przykłkła przy nim i głowę wsparła na jego ramieniu.

— Biedny, biedny męczenniku, nie obawiaj się, choćby najdłużej przyszło mi czekać na ciebie, pozostanę ci wierną. I nie nazywaj tego ofiarą, co dla mnie szczęściem i chlubą życia się stanie. Matka twoja przyjęła mię za córkę, dzieci przylgnęły, chcę im nieść pomoc i pociechę, zanim powrócisz.

— Nie wróczę do was, nie wróczę, oto przed chwilą wyrok mi przeczytano... mam się z wami pożegnać na... zawsze!

Krystyna krzyknęła na tę wieś straszną, ale w tej chwili się opamiętała.

— Nigdy, nigdy nie może między nami paść to straszne słowo — na zawsze. Twoją jestem, twoją pozostanę, choćby cię wywieźli, czekać będę i... wierzę, że się doczekam.

Ostatnie słowa wypowiedziała z taką siłą, taką wiarą, że i Krasnodębski w nie uwierzył. Osunął się przed nią na kolana, i pocałunkami zaczął okrywać jej ręce, dziękując, wyznając swe uczucia.

— Wezmę twą matkę i dzieci twe w opiekę, nie rozłączę się już z niemi, otoczę miłością i staraniem, bądź spokojny o nich, gdy wrócisz, zastaniesz nas razem.

— Ach, moje dzieci, moja matka, ratujcie je, wywieźcie z tej okolicy, bo ich mogą zmuszać do prawosławia... nie dajcie!

— Zabezpieczymy, usuniem im z oczu, zapewnił Bilecki.

Strażnik dał znać, że czas widzenia minął. Trzeba się było żegnać. Krystyna zdjęła z szyi medalik poświęcony, włożyła mu go na szyję. Potem oboje uklękli przed stryjem, by ich pobłogosławili.

— Błogosławię was, dzieci drogie, aby Bóg dobry pozwolił wam jak najprędzej się połączyć, a połączyć na życie całe.

Zdjął z palca pierścieni rodzinny i podał go Krystynie.

— Daj mu ten pierścieni jako znak zaręczynowy, niech go krzepi, niech wzmacnia w nadziei, że skończą się dni niedoli i na ślubny go pierścieni zamieni.

Krasnodębski przytulił rękę, co mu klejnot podawała, zdjął z palca ślubną obrączkę i podał ją ze słowami:

— Niech ta najdroższa dla mnie pamiątka będzie zadatkiem mej miłości i strzeże cię dla mnie, ukochana moja.

Żołnierz naglił do wyjścia, raz jeszcze spotkały się ich wejrzenia, splotły w uścisku dlonie i Bilecki wyprowadził z celi łączami zalaną Krystynę. Widział tylko za sobą wyciągnięte ręce Stefana — i drzwi więzienia z trzaskiem się zamknęły.

VIII.

Dwa lata upłynęło od wyżej opisanych wypadków. Dwa lata długie, znojne dla cierpiących i nieszczęśliwych.

Z kościoła Św. Kuby w Warszawie wyszła Krystyna, kierując się w stronę Nowego Świata. Od jej ciemnego płaszczyska odbijała liljowo — biała cera jej twarzy, bez rumieńca, bez uśmiechu, jakąś tępkną zadumą owiana. Piękną była, tak piękną, że oczy przechodniów na sieć ciągały, ale zarazem uwydatniały się w niej taki majestat cichego cierpienia i powagi, że głowy się przed nią chyliły. Wbrew swemu zwyczajowi szła wolno, bo dziś z powodu choroby uczennicy lekcja południowa przepadała. Wstąpiła więc do kościoła, by tam jak zwykle zaczerpnąć siły do walki i pracy, które tak wcześnie młode jej życie zbyt wielkim przygniotły ciężarem. Wzięła na siebie olbrzymie zadanie i spełniała je z podziwu godną wytrwałością i miłosнем oddaniem.

Po ostatnim widzeniu z Krasnodębskim i po jego wywiezieniu, zamieszkała na stałe przy boku jego nieszczęśliwej,

zrozpaczonej matki. Była jej córką oddaną, opiekunką, wyręczycielką, była jej pocieszycielką tem skuteczniejszą, że z nią razem żyły wylewała i boleść dzieliła. Gdybyż choć zostawiono ich w spokoju, ale gdzietam! Nałożono kontrybucję, na którą poszedł cały prawie inwentarz, wreszcie skonfiskowano majątek, niewielką tylko jego częstkę, jako rejentalnie zastrzeżoną własność matki, na jej utrzymanie zostawiając. Była obawa, że zagarnąwszy mienie wróg tem się jeszcze nie zadowolni, ale sięgnie po dusze nieszczęśliwych istot, jak to przewidywał Krasnodębski. Postanowiono tedy zejść mu z oczu i w wielkim mrowisku stolicy ukryć się i zatonąć. Wynajęto skromne mieszkanko przy ulicy Chmielnej i tam pani Krasnodębska z Krystyną, wnuczeciami i starą służącą Katarzyną przeniosła się i zamieszkała. Bilecki objął zarząd nad jej majątkiem, co mu przychodziło tem łatwiej, że miał go o miedzę od swego pola. Dochód z tego majątku jak najsumienniejszej w postaci pieniędzy i wiejskich produktów oddawany, był podstawą utrzymania całej rodziny, ale na to utrzymanie nie wystarczał. Brak ten Krystyna pracą swoją dopełniała, dając lekcje, przepisując papiery i t. p. aby tylko matce i dzieciom na niczem nie zbywało. I rzeczywiście, skromnie, ale miło i dostatnio było w mieszkanku na Chmielnej, tembardziej, że stara Katarzyna skrzetną i oszczędną była gospodynią, Pani Krasnodębska oceniała

przymioty swej przybranej córki, z dniem każdym coraz więcej do niej się przyzwyczajała, dzieci kochały tę „ciocię” z nieba im daną, Katarzyna koło „kochanej panienki” rzec można na palcach chodziła, a praca wypełniająca dnie całe nie mało dawała wewnętrznego zadowolenia. Mogła by więc Krystyna czuć się szczęśliwą, gdyby nie ciągle w pamięci stojący obraz niedoli człowieka, którego teraz gorąco, owszem z dniem każdym coraz goręcej kochała. Stało się to, co nieraz dziwną w życiu ludzkiem wydaje się zagadką: ten sam piorun co druzgotał szczęście Krasnodębskiego, zbudzi dlań serce Krystyny, które potem wśród nowych wrażeń i okoliczności coraz potężniejszem wybuchało uczuciem i do największego usposobiło ją poświęcenia.

Tęskniła więc, cierpiała, cicho wprawdzie i bez skargi, by serca matki nie rozraniać, ale wskutek tego jeszcze dotkliwiej. W pracy szukała zapomnienia, w modlitwie pociechy i pomocy. Od Stefana rzadko przychodziły listy, a takie były serdeczne, pełne tęsknoty, pełne miłości i uwielbienia dla niej, że je zawsze gorącemi łzami oblewała. Dziś właśnie po takim liście pobiegła do kościoła, by u stóp ołtarza wylać swą bolesć i łzami ulżyć sercu stęsknionemu. Jak zwykle, tak i dziś wyszła stamtąd spokojniejsza, silniejsza i bardziej z losem pogodzona. Koło niej przesuwali się ludzie w tą i w

tę stronę, niejeden potrącił w pośpiechu, ale ona zda się nic nie widziała, w obraz w duszy odtworzony zapatrzona.

Nagle hałas jakiś, okrzyk przerażenia i przestrogi zbudził ją z zadumy. Ludzie uciekali w popłochu... wprost na nią po chodniku pędził koń rozhukany... Spojrzała i krzyknęła przełekniona. Obok stał chłopczyk lat około siedmiu mający, spokojny, nieświadomy niebezpieczeństwa. Jeden moment, a znajdzie się pod kopytami końskiegomi... Chwyciła go za rękę, przyciągnęła do siebie i z nim razem cofnęła się raptownie, upadła pod drzwi sklepowe. W tej chwili koń przeleciał, nie dotknąwszy dziecka, na jej piersiach leżącego. Chłopczyk był uratowany. Westchnienie ulgi wydobyło się z piersi patrzących na to zajście, które nastąpiło i minęło tak błyskawicznie, że dopiero je spostrzegła zajęta oglądaniem wystawy sklepowej bona, opiekująca się chłopczykiem. Wydawszy okrzyk trwogi, rzuciła się do dziecka, ale Krystyna, prawie nieprzytomna trzymała go tak silnie, jakby jej na niem wiele zależało. Tymczasem grono ciekawych otoczyło ich kołem. Pomagano im wstać, widzów przybywało z każdą chwilą. Wtem zabrzęczały ostrogi, silna ręka rozsunęła tłum zgromadzony.

— Co się tu stało? spytał poruszki jakiś poważny, siwiejący już generał.

W tej chwili spostrzegł chłopca z ziemi dźwigniętego i zbladł gwałtownie.

— Ty tutaj?... co to wszystko zna-
czy? zawała, chwytając chłopca w swe
objęcia. Był przerążony i zły, oczy krwią
mu nabiegły. Powiodł wzrokiem dokoła,
szukając tej, której opiekę nad dzieckiem
powierzył.

— Tak to wy, panno Olgo, mojego
dziecka pilnujecie? rzekł mierząc bonę
groźnem spojrzeniem.

Zalana łzami zaczęła się tłumaczyć,
ale nie szło jej to jakoś. Jeden z obec-
nych panów wyręczył ją w tem, opowia-
dając w kilku słowach o tem co zaszło.

— Gdyby nie przytomność umysłu
i poświęcenie tej młodej osoby, dodał
wskazując na Krystynę, dziecko napewno
byłoby stratowane. Raptowne szarpienie
życie mu uratowało, a że upadł na swoją
wybawicielkę, nie odniósł najmniejszego
szwanku.

— Za to panienka co się dla niego
poświęciła, została przez konia uderzona,
dorzucił ktoś z boku.

— Z bólu i przestrachu mdleje, za-
woała jakaś kobieta, pomóżcie ludzie,
bo na chodnik upadnie.

Jenerał zwrócił się do Krystyny,
która rzeczywiście chwiała się, blada jak
płótno z oczyma przymkniętymi.

— Ratować trzeba, posadzić trzeba,
żeby odpoczęła.

— Ale gdzie? padło zapytanie.

— No, u mnie, ona życie mego
dziecka uratowała. Zaprowadźcie ją panowie
do mego mieszkania, tu w tym domu.

W chwilę potem Krystyna siedziała na małej kanapce w mieszkaniu pięknie umebłowanem, a pani jenerałowa z panną Olgą trzeźwiły ją i uspokajały. Wkrótce przyszła do siebie, okazało się jednak, że była silnie potłuczona i rękę miała zranioną. Jenerałowa przejęta wdzięcznością dla wybawicielki swego jedynaka, sama ranę jej opatrzyła i chciała posłać po doktora. Krystynie przecież pilno było ten dom opuścić, podziękowała zatem, tłumacząc, że niema nic złego. Chciała powstać z kanapy, lecz przeszkodziła temu jenerałowa i przysiadłszy koło niej, ujęła jej obie ręce.

— Duszeńko moja, rzekła z przymileniem, my cię tak puścić nie możemy. Uratowałaś od niechybnej śmierci nasze jedyne dziecko, chcemy ci wdzięczność okazać, chcemy ci podziękować. Powiedz, czembyśmy ci przyjść z pomocą, czy przyjemność sprawić mogli. Jesteśmy bardzo bogaci i wiele możemy, więc się nie krępuj, bądź ze mną szczerą, może ci czego braknie. może czego pragniesz?

Krystyna podniosła na nią wzrok taki smutny, taki łzawy, że jenerałowa bliżej się do niej przysunęła.

— No, widzisz, że zgadłam, tobie czegoś potrzeba, za czemś tęsknisz, czy nie zechcesz mi powiedzieć?

— Pani, naprawdzie mówiąbym o tem co mi dolega, co przepięlnia tęsknotą.

Tego mi nie dadzą żadne pieniądze, ani nikt nie wróci, jedno tylko miłosierdzie Boże...

— A, duszeńko droga, miłosierdzie Boże przez ludzi przychodzi, trzeba tylko u nich pomocy poszukać. Szkoda twoj młodości i urody, żebyś się smutkiem truć miała, tobie się szczęście należy.

— Wydarto mi je i już nie wróci, biednam ja sierota na życie całe.

Łzy których wstrzymać nie mogła, oblały jej twarz tak piękną z tym obrazem boleści, że jenerałowa z jakimś zachwytem w nią się wpatrzyła.

— Czy już nie żyje ten, komuś swoją łosć oddała, albo kto zabrał twoje szczęście? spytala przyciszonym głosem.

— Żyje, ale daleko... i już niema nadziei powrotu!...

— Aha! domyślam się! politycznie zawinił i został skazany... czy tak?

— Nie, pani, on nic nie zawinił. w niczem przeciwko władzy nie wystąpił, tylko kochał swoją wiare, prześladowaną na ziemi podlaskiej i chełmskiej, tej wiary wyrzec się nie chciał — i za to, za to, że był szlachetny, prawy, dobry chrześcijanin, za to wywieźli go od matki, od drobnych dzieci i odemnie jego narzeczonej! I gdzie mi szukać sprawiedliwości, gdzie szukać pomocy? wrogów tylko widzęokoła i cierpię, a mego cierpienia nic nie uleczy.

Jenerałowa chwilę siedziała milcząca.

— Nie wszyscy są tak żli, jak sobie wyobrażasz, nie wszyscy pochwalają to, co się dzieje w Chełmszczyźnie.

Zbytnia gorliwość niektórych urzędników psuje dobre stosunki między nami, a tego być nie powinno. Pewnie i ty, gdybyś wiedziała, że chłopczyk, co przypadkiem stanął przy tobie, jest synem rosyjskiego generała, nie spieszyłabyś mu z ratunkiem, nie chciałabyś dla niego życia narażać.

Krystyna podniosła na nią wejrzenie pełne godności.

— I owszem, nie zawahałabym się ani chwili, ale pośpieszyła uchronić go od niebezpieczeństw twa, w imię zasad mej wiary, wiary, którą nam z serca chcą wydrzeć.

Jenerałowa pochyliła głowę.

— Nie wiem, czy mogę ci dużo obiecywać, ale i ja w imię zasad chrześcijańskich chcę ci dopomóż, pomówię o tem z moim mężem, on wiele może, a nuż uda się co zrobić.

Niespostrzeżono, że generał, który się był oddalił, wrócił do pokoju i był świadkiem całej rozmowy. Słowa Krystyny i cała jej postać ujmującą piękna silne na nim sprawiła wrażenie. Chciał naprawić złe jej o Rosjanach mniemanie, uważały, że dług wdzięczności przed chwilą zaciągnięty z całą hojnością spłacić powinien. Podszedł do niej tedy ze słowami:

— No. piękna dziewczko, nie będziesz dłużej płakała, masz moje jeneralskie słowo, że uczynię wszystko, żeby ci wrócić narzeczonego.

Błysk naglej radości rozjaśnił twarz Krystyny. W tej chwili do myśli jej wpadło przeświadczenie, że całe to zajście było zrządzeniem Opatrzności. Upadła na kolana i obie ręce wyciągnęła do niego z niemem ale wymowem błaganiem,

— Panie jenerale, szepnęła po chwili, uczyn według obietnicy, a życie całe wdzięczną ci pozostanę.

— No, tak, w ten sposób uregulujemy swoje racunki, rzekł, podając jej rękę do powstania. Musi mi pani podać wszelkie szczegóły zaraz dziś, aby można było zacząć jak najprędzej.

— Boże, jakież cudowne są drogi Twoje! modliła się w duchu Krystyna, przechodząc do gabinetu jenerała.

IX.

Cierpiąca, ale nadzieję podniecona wróciła Krystyna do domu. Katarzyna drzwi otwierając, powitała ją słowami:

— Co się stało, czy aby nie jakieś nieszczęście, że tak długo panienki nie było?!

— Eh, nic się nie stało..., mała przygoda szczęśliwie zakończona — całą przyczyną opóźnienia. Jedliście obiad?

— Ale gdzież tam! nikt nie chciał jeść bez panienki. Pani się zaniepokoili, a że od rana jakoś niedomaga, poszła się położyć.

Krystyna, zapominając o bólu, jaki jej zraniona ręka sprawiała, zrzuciła z siebie płaszczek i kapelusz i pobiegła do pokoju przybranej matki. Cicho zatrzymała się w progu, aby jej nie przebudzić, w tej chwili jednak staruszka poruszyła się radośnie.

— Krysiu droga, jesteś nareszcie, a tak się o ciebie obawiałam!...

Krystyna podeszła do łóżka i przekląłszy, pieszczołwiście dajej się przytuliła.

— I czegoż ta ciągła obawa? Cóżby mi się mogło stać w dzień biały na ludnej ulicy? Po co mateńka tak się kłopocze — i obiadu dotąd nie jadła, jakże to można!...

— Jakoś niedobrze się czuję, do jedzenia więc chęci nie miałam, zresztą z niepokojem w duszy nie warto zasiadać do stołu, bo to nie wyjdzie na pożytek.

— No, więc zasiadziemy bez niepokoju, owszem z nadzieją, z błogą nadzieję najgorętszych naszych życzeń spełnienia.

Pani Krasnodębska usiadła na łóżku i pilnie w twarz się Krystyny wpatrzyła.

— Czy to być może? Czyżby padł jakiś promień jaśniejszy, budzący tę nadzieję?

— Tak wypada przypuszczać, jeżeli słowo poważnego człowieka niema być pustem echem bez znaczenia.

— Więc coś jest, więc ty coś wiesz! mów, mów, moja droga, bo drżę z niecierpliwości.

— Posłuchaj więc, mamo, spokojnie, jaką dziś miałam przygodę i osądź, czy nadzieja mię nie ludzi.

Opowiedziała zajście na ulicy i przebieg rozmowy w domu jenerała. Pani Krasnodębska słuchała bez poruszenia, w końcu szepnęła:

— Trudno nie ufać, Bóg wszystkiem rządzi i dobrodziejstwa swoje dziwnemi nieraz zsyła drogami.

Podniecona, uśmiechnięta podniosła się z łóżka i przytuliwszy Krystynę do piersi, rzekła serdecznie.

— Bóg mi cię dał na pociechę w smutnej doli, przez ciebie widać i dzieła pocieszenia dokona. Pomóżmy się razem, Bogu tę sprawę polecając i dziękując za pocieszenie, jakie nam dał w dniu dzisiejszym.

— Dobrze, mamo, tylko i dzieci sprowadzę.

W chwilę potem cała rodzina klęczyła przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, powtarzając za panią Krasnodębską słowa modlitwy dziękczynnej oraz gorącego błagania o powrót ukochanego człowieka. Z ust starszych płynęły słowa:

— Wróć go nam, Panie, pociesz nas, Panie!

Dzieci znów rączką wyciągając, prosiły:

— Dzieciątko Boże, przyprowadź nam tatusia.

Nikt nie słyszał jak drzwi się cicho otworzyły i w progu stanął Bilecki. Popatrzył na modlącą się gromadkę i rozrzewniony przykłąkł również, by się duchem z niemi połączyć.

Powstano w tej chwili i okrzykami radości zaczęto gościa miłego witać. Dla dzieci największa była to uciecha, bo „dobry dziadunio“ różne rzeczy ze wsi przywoził, a takie smaczne, takie przez nich pożądane. To też gdy go obskoczyły i teraz, ucalowawszy, wyprawił je do kuchni.

— Idźcie do Katarzyny, zobaczę co wasm przywiozę. Jajka i jabłka... i żywe kurczątka.

— Żywe kurczątka! wykrzyknęły obie i już ich nie było w pokoju.

— Wyprawiłem dzieci, bo chcę się dowiedzieć, czy nie macie jakiej wieści od naszego wygnańca, gdyż słowa waszej modlitwy każą mi przypuszczać, że jakąś powzięłyście nadzieję.

— O, tak stryjaszku, może się ona złudną okaże, ale w tej chwili ożywia nas i pociesza.

— Tak, odrzekł Bilecki, wysłuchawszy opowiadania, to do nadziei powódnie bylejaki. Jestem przekonany, że jenerał zechce coś zrobić. przez samo poczucie honoru, a gdy zechce, gdy naprawdę czuje obowiązek wywdzięczenia się za obronę syna, — to zrobi napewno, a przy-

najmniej dolę jego złagodzi, bo u Moskali wysokie figury ogromne mają wpływy i poważanie.

— Więc się stryjaszku, cieszysz razem z nami?

— Tak — i cieszyć się będę tem więcej, że to ty przyniesiesz mu wybawienie.

— Bóg najsłabszych używa nierzaz zanarzędzie swej Opatrzności, aby i tutaj tak było dla szczęścia naszego, odrzekła skromnie Krystyna.

— No Krysiu, ale nasz gość głodny, zmęczony z podróży, trzeba pomyśleć o obiedzie.

— Zaraz go podamy, o, jakże on nam dzisiaj będzie smakował!

I skoczyła do kuchni, a w chwilę potem nucąc półglosem, nakrywała do stołu, zwinna jak wiewiórka, choć jej połuczenie i zraniona ręka dotkliwie odczuć się dawały. Ale nadzieję unosi i skrzydła przypina, duch leci do przedmiotu ukochania, to i na cierpienia ciała nie zważa.

A z drugiego pokoju patrzyły na nią oczy dwóch ludzi, co ją jak córkę kochali, a z serc ich i ust wyrywało się westchnienie:

— Oby się jej marzenia spełniły!

X.

W mieszkanku na Chmielnej cicho, na pozór bez zmiany płynęły dni i tygodnie, serca tam jednak żywszą były nadzieją. Oczekiwano z upragnieniem spełnienia danej przez generała obietnicy i oczekiwanie to nie było bezpodstawnem. Generał poczynił starania i o pomyślnym ich wyniku zawiadomił Krystynę, ale od Krasnodębskiego list nie nadchodził. O jego powrót codzień się modlono, codzień wieści wyglądały, lecz tej jak nie było, tak nie było.

Jednego dnia wreszcie, jakoś w połowie grudnia, zjawił się list upragniony w którym z najżywszą radością biedny wygnaniec o swem uwolnieniu donosił.

— Dziś zaraz wyjeżdżam, pisał, bo czyż mógłbym bawić tu dłużej choćby jedną godzinę bez przymusu czy koniecznej potrzeby? Serce moje już przy was, już mię wyprzedziło, ale i ja cały wnet za niem podążę. Najdrozsze, ukochane, zaledwie śmiem wierzyć swemu szczęściu, że ja was wkrótce zobaczę. Śpieszę wyjść z tej niepewności, by sobie módz powiedzieć: otom nareszcie znowu na rodzinnej ziemi, otom nareszcie od swych najbliższych niedaleko...

Czekał więc, pragnął, śpieszył, a czemu dni płyną a jego niema? Nadchodzą święta Bożego Narodzenia, ta uroczystość najbardziej rodzinna. gdyby i na nią nie przybył — to już byłoby złym znakiem.

Zawitał wreszcie dzień wigilijny, poczy-
niono nań większe niż w roku ubiegłym
przygotowania, smutne jednak były twa-
rze, a serca stroskane i dzieci daremnie
już tyle razy pytały:

— Kiedyż tatush do nas przyjedzie?

Po dniu chmurnym mrok wcześnie
zapadł, tu i ówdzie błyskały światła,
u nich tylko ciemno było i cicho. Pani
Krasnodębska siedziała przy oknie, zapa-
trzona w niebo, w myślach tesknych czy
w modlitwie zatopiona. Krystyna wró-
ciwszy z kuchni, gdzie w czemś Katarzy-
nie pomagała, wziawszy kapelusz na gło-
wę ozwała się do staruszki:

— Wyjdę jeszcze na miasto, przejść
się trochę, a może wstąpię do kościoła,
ale nie na długo, bo wieczerza już prawie
gotowa.

— A czekać nie mamy na kogo,
westchnęła biedna matka i spuściła gło-
wę, by ukryć łzy, do oczu napływające.
Nie baw jednak długo, moja droga, bo
tak dziś mi teskno i smutno, że miejsca
sobie znaleźć nie mogę.

— To może zostać, może nie od-
chodzić?

— Eh nie; skoro masz chęć, to przejdź
się, wiem, że i tobie ulgi i pociechy trze-
ba. Proszę cię tylko nie baw długo.

Za chwilę Krystyna biegła ulicą, a
biegła nie gdzieindziej jak do kościoła,
bo gdzież jak nie tam szukać miała uspo-
kojenia i mestwa w razie nowego ciosu?

W ciszy wieczornej modlić się tak błogo, to też ani spostrzegła, że już godzinę była poza domem, a tam przecie na nią czekają. Wyszła pośpiesznie i z pewnym wyrzutem sumienia, ale jakoś dziwnie swobodna i pokrzepiona na duchu. Ulice opustoszały, zcichły, po domach za to gwarniej i ludniej było i tylko czekać, jak wesola ozwie się kolęda i pod strop niebieski popłynie. Krystyna w sercu, w myśli swej słyszy tą kolędę radosną i radaby ją śpiewać wraz z innymi, śpiewać z samemi aniołami, tak jakoś dziwnie jej uroczystie i błogo.

— Wybacz, Katarzyno, żem się spóźniła. Za długo z wilją czekacie, ale...

— To nic, niech się panienka rozbiera, prędko, pręciuchno, a wszystko będzie dobrze.

Odpowiedziała na to uśmiechem, ale stara też się śmieje i jakiś filuterny wyraz ma w twarzy. Zrzuciła salopkę i kapelusz, gdy w tem drzwi się od pokoju otwarły i stanął w nich Bilecki.

— Stryjaszku! drogi, kochany stryjaszku! skądże nam dziś ta niespodzianka?!

— Odkładam odpowiedź na później, bo wpierw chciałbym się dowiedzieć, gdzie to panienka w chwilę tak uroczystą przebywa, gdy na nią w domu czekają. Ładna z ciebie gospodyn, ani słowa.

— Nie gniewaj się stryjaszku, ale jakoś teskno mi było, wybiegłam więc odświeżyć myśli i nowego w piersi nabrac powietrza.

— Upatrywałaś gwiazdki spodziewanego w nowym roku szczęścia, a może przedżej w domu byś ją znalazła.

— Nie wiedziałam, stryjaszku, że cię tu zastanę, ty nam zawsze przynosisz orzeźwienie.

— A dziś i pociechę istotną; chodźno, zobacz, co ci na gwiazdkę przywiozłem.

Z radosnym zaciekawieniem w oczy mu spojrzała, ale nie zdążyła się jeszcze poruszyć, gdy z poza niego wysunął się wysoki mężczyzna i upadł przed nią na kolana.

Spojrzała i krzyknęła zdumiona. Był to Krasnodębski, zmieniony znacznie, błydy, i mizerny, ale ten sam, którego przed dwoma laty w mrocznym więzieniu żegnała. Tak, to był on, jej narzeczony, jej ideał bohaterskiego obrońcy wiary, pocieszyciela ludu gnębionego, on męczennik, tułacz na obcej ziemi, — dziś tu pod dachem rodzinny, wśród swoich, taki kochany i tak gorąco upragniony. W jednej chwili objęła myślą ogrom szczęścia, jaki ich spotykał i dni lepszych których był zwiastunem.

— O! gwiazdko ty moja, najmilsza, upragniona, o aniele opiekuńczy mego rodzinnego ogniska, jakże mam cię powitać, jak ci za wszystko podziękować!

— Panie Stefanie, powitaj mię jak swoją narzeczoną i przyszłą towarzyszkę życia.

Podała mu obie ręce, które on do ust przycisnął.

— O, jakżem szczęśliwy, jak bardzo szczęśliwy, kiedy z ust twych takie słyszę słowa. Więc ty, królewno czarowna, moją będziesz, moją na zawsze!

— Tak, Stefanie; słowa danego nie cofnę i dumną jestem, że mam być żoną męczennika, mam się starać by przy mym boku o cierpieniach przebytych zapomniał.

— Już zapomniałem, już mi się wszystko małem wydaje, w obec nagrody, jaka mię w dniu tym potyka.

— Wstań pan, mnieby przed tobą klęknąć należało, miejsce twe odtąd przy sercu, które ci się oddaje.

Objął ją w pół i serdeczny uścisnął łączył ich dlonie.

— Chodźcież do matki, która was oczekuje, ozwali się wreszcie Bilecki. Ale matka w tej chwili przy nim stanęła. Patrzyła ona z drugiego pokoju na powitanie młodych, a teraz wybrawszy moment stosowny, podeszła bliżej, by udział wziąć w ich radości. Stanęła przy Bileckim, jako przy ojcu przybranym Krystyny i wyciągając ręce, przywołała ich do siebie;

— Moje dzieci, moje drogie dzieci!

Uklękli przed nią oboje, a ona pła, cząc z radości, błogosławiła ich i ściskała-

co po niej i Bilecki uczynił. Przybiegły do nich obie dziewczynki, podeszła i stara Katarzyna — i weselili się wszyscy, nie mogąc się swem szczęściem nacięszyć. Ale nadmiar radości osłabił siły staruszki, że musiano ją w fotelu usadzić i wody podać dla orzeźwienia. Teraz zauważono dopiero że i Krasnodębski osłabł, blady był i chwiał się na nogach. Krystyna z niepokojem spojrzała na stryja.

— Nie kłopocz się, mała, odparł, zrozumiawszy to spojrzenie Bilecki. On po chorobie, nie dziw zatem, że zbytek wzruszenia tak na niego podziałał. Trzeba mu dać chwilę spokoju i wypoczynku, a przyjdzie do siebie. Przecież on u mnie kilka dni leżał i chciałem, aby z nami święta całe spędził, ale gdzie mu tam było o tem gadać! Rwał się całą duszą, udawał zdrowego, byle jechać przedzej, by na dzień wigilijny być tu koniecznie. Musiałem ustąpić, ale żem się obawiał puścić go samego, musiałem się wyrzec wigilii w rodzinmem kole i towarzyszyć mu do was.

— Jakiś ty dobry stryjaszku, ale czemuś nam o tem nie napisał?

— Po co was było martwić i budzić niepokój, gdy miałem nadzieję, że to przejdzie. Zasiębił się w drodze ot i wszystko

— Namów go, stryjaszku, żeby się choć na kanapce położył, a ja tymczasem do stołu nakryję, bo czas wielki zasiąść do wieczerzy.

— Pewnie że czas, wszyscyśmy głodni porządnie, więc się zakrątnij, gospisu, abym się za ciebie przed narzeczonym wstydzić nie potrzebował.

Rozśmiała się, ale zamiast śpieszyć do kuchni, podeszła do Krasnodębskiego, który rozmawiał z matką, o fotel jej oparty.

— Musi pan odpocząć choć chwilę, ot, tu na kanapce i nabrać sił do wieczerzy, rzekła, biorąc go pod rękę i kierując w stronę wskazaną.

— Idź, Stefanie, posłuchaj dobrej rady, poparła żądanie matki.

— Będę posłuszny mojej pani z najżywszą radością, oddaję się jej w niewoli.

— A nie śpieszże z tem oświadczeniem, rozśmiał się Bilecki, bo to ci na złe wyjść może.

— Jakoś się tego nie lękam, zresztą ta, której oswobodzenie swe zawdzięczam, ma nademną prawa.

Przycisnął do ust drobną rączkę, co mu pod głowę poduszkę podsuwała i przymknął oczy z wyrazem największej błogości. Przymknął oczy nie aby zasnąć, lecz aby zebrać myśli i Panu Bogu podziękować za wszystko czego dziś doświadczył. I nie tylko dziś. Wspomniał rozpaczne dni w więzieniu spędzone, bolesci wygnania, pożerającą tęsknotę za krajem, za rodziną, za wolnością. Ach, wolność, czem ona jest, rozumie to ten tylko, kto ją utracił. Wspomniał osamotnienie i chłód i głód i przeróżne przykrości, jakich do-

znawał na wygnaniu — i zestawił to, porównał z chwilą obecną, aby uwypuklić sobie szczęście, spokój, pieszczoty, jakich już tyle otrzymał, a tyle się jeszcze spodziewał. W obrazach snujących się jeden za drugim widział to wszystko oddalające się, niby upiory straszliwe, ustępujące miejsca obrazom pięknym, światlnym, któremi się teraz rozkoszował. O jak to w życiu szybko wszystko przemija i jak błogie wspomnienie po przebytych cierpieniach zostaje! Z najszlachetniejszych pobudek naraził się na cierplenie, a ono mu zjednało serce te, która zdawały się, straconą była dla niego nazawsze, teraz zaś sama się mu oddaje. O! jaki Bóg dobry! jak potężną dźwignią jest wiara, jak wielka za cierplenie przebyte nagroda!

Marzył, odpoczywał, cieszył się aż cienki głosik dziecięcy wyrwał go z zadumy. To Janinkę przysłano, żeby zobaczyła czy tatuś się obudził. Przygarnął dziecko do piersi, ucalował, poczem obeje udali się do jadalnego pokoju, gdzie już wszyscy na niego czekali. Jak radosną była ta wilja, ile życzeń spadło przy opłatkach, ile marzeń i planów na przyszłość omówiono, tego opisać nie podobna. Siedzieli z Krystyną obok siebie, jak ongi przy pierwszym spotkaniu i znowu jak wtedy opowiadał jej o cierpieniach wywiezionych z kraju unitów, o ich

cichem, kornem, z poddaniem się woli Bożej przyjmowaniu śmierci, która nie jednego tam spotkała.

— To za świętą naszą wiare, panoczkę, mówili, to na pohybiel wrogów umieramy i umierali spokojni i ufni, że ich za to nagroda nie minie.

Wieczór ten i dwa dni następne to dla dwojga młodych były chwile niezapomniane, najszczęśliwsze w życiu. Minęły szybko, a zostały niespodziewanie rozerwane. Bilecki oświadczył, że Krystynę z sobą zabiera na te kilka tygodni dzielące ich od dnia ślubu. Matka i dzieci mają teraz opiekuna, więc może spokojnie od nich odjechać, a o swej wyprawie pomyśleć. Uznając słuszność tego żądania, nikt mu się nie śmiał sprzeciwiać i choć z żalem zgodzono się na trzytygodniową rozłąkę.

Trzeciego dnia świąt wczesnym rankiem Krystyna w towarzystwie stryja, opuściła Warszawę, aby przed wieczorem stanąć w gnieździe rodzinny, gdzie ją niecierpliwie wyglądało. Tu zaraz na wstępie spotkało ją przypomnienie strasznej doli niewinnie dręczonego narodu. Dwuletnie dziecko chodziło po pokoju jadalnym, mizerne, zabiedzone, ale takie ładne i miłe. Na zapytanie co to za dziecko usłyszała smutną opowieść o okrutnym zbiciu nahajkami matki tego

dziecka za to, że wraz z innymi kobietami bronila wstępu do cerkwi przysłanemu popowi prawosławnemu.

— Nieszczęśliwa kobieta nie przeżyła kaźni, kończyła opowiadanie pani Bilecka. Trzeciego dnia przyszła śmierć i do lepszego przeniosła ją życia. Ale po niej pozostało to małeństwo, samo jedno w chacie bez opieki i pod grozą, że je strażnicy pochwycią i na prawosławną wychowają. Przyniesiono je tutaj z prośbą o ratunek i przyjęłam tymczasem, dopóki coś się dla niej nie znajdzie.

— Ja ją zabiorę — to będzie moje wiano, powiedziała z zapałem Krystyna. Wprawdzie Stefan nie ma jeszcze posady ni sposobu zarobkowania, jednak, wiem że rad ją przyjmie. Będzie to nasze odwdzięczenie Panu Bogu za jego powrót z niewoli.

Zatrzymano więc małą Kasię, jako własność Krystyny, dla której stała się tem cenniejszą, że jak się pokazało, była jednym z owych dwojga dzieci, które ona z Krasnodębskim w starym młynie do chrztu trzymała.

• • • • •

Z kościoła św. Krzyża w Warszawie wyszła gromadka z kilku osób złożona, w jakimś poważnym, lecz radosnym nastroju. Twarze spokojne, ale uśmiechnięte, każą się domyślać, że coś według życzenia wszystkich się dokonało. I tak

było w istocie. Przed chwilą bowiem tu w kaplicy Matki Boskiej Stefan i Kryszyna ślubowali sobie miłość dozgonną i teraz w gronie najbliższej rodziny wracają do domu, by podjąć czekające na nich obowiązki i nowe życie rozpocząć. Do tego życia uśmiechają się oboje, promieni się im ono błogą nadzieją, bo wszak po burzy zwykle piękna następuje pogoda, po cierpieniach wesele przychodzi. Na to życie błogosławiła im matka i stryjostwo, a stara Katarzyna tak się codziennie gorąco modliła, więc z wiarą w nie wstępują i z przekonaniem, że choć ono bywa trudne i ciężkie, potrafią na jego niwie kwiat szczęścia prawdziwego zaszczepić i wyhodować.

— Najmilsza moja, mówi Krasnodębski, ciernistym szlakiem do tej chwili szczęśliwej doszliśmy, z dumą więc, i radością możemy patrzeć w przyszłość i zdobywać to, co nam ta przyszłość dać może. Na twardej roli, wśród ostrych podmuchów wyrósł kwiat naszej miłości, hartowny więc on i niema obawy, żeby go byle przeciwność nadwyrężyć mogła.

— O, tak, mój kochany biedaku, należy ci się słuszna nagroda za zniesione prześladowanie, a za bolesną ze swymi najbliższymi rozłąkę — przy sercu kochającem spokojny spoczynek i wytchnienie.

— Obojgu nam się to należy i tyś przecierpiąła niemoła i trudów niemoła

podjęłaś. Obowiązkiem teraz moim stwórzyc ci życie mile i łatwe. Bóg mi dopomógł znaleźć pracę, odpowiadającą twoim i moim upodobaniom. Hrabia powierza mi z pełnym zaufaniem majątek swój do administracji, a ja tego zaufania nie zawiodę. Będziemy więc na wsi, niedaleko Warszawy, w pięknej miejscowości i w dobrych warunkach. Wszyscy z pewnością odetchniemy,

— Szkoda tylko, że tak daleko od naszych kochanych unitów.

— Trudno; tam wracać, by wrogom leźć oczy, nie mogłem. Wychowując małą Kasię na dobrą katoliczkę, będziesz miała pocieche, że choć jedną duszę im wyrwałaś. Zresztą mam to przeświadczenie, że Bóg ich prześladowaniu kres położy. Runęła Rzymian okrutnych potęga, runie i carów tron okrwawiony, a święta wiara katolicka wyjdzie z prześladowania jeszcze silniejsza i bardziej ukochana, by bujniej i piękniej na ziemi podlaskiej rozkwitnąć.

-- Daj Boże, aby to były słowa prorocze i abyśmy patrzeć mogli na tryumf wiary, jak na łzy i męczeństwo patrzyliśmy.

— Ufajmy! ciernistym szlakiem najpewniej się do szczęścia dochodzi.

KONIEC.

